

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1400. Gorczyński Adam, Silva rerum (poł. XIX w.).

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська бібліотека
АН УРСР

ВІДЛІК РУКОПИСІВ

Таб. 1400

Duplicate No 2021 ex 1841

Gorczyński Adam

Sylva rerum

Z księgozbioru
Stanisława Spittala

Dział. No.

Tadama

VII. 2. 54

Zeszyt pierwszy

Z księgozbioru
Stanisława Spittala

Dział. No.

Adm. Gorczyński
in Nowodwór Wado
wicek Kainb.

Lwów

Nakładem B. Jabłonickiego i Syna

1842.

2/-

D. Sprittal, K. K. 380/30

85. 5. -

Nr. 1400

VII. 9. 14.

Rozmaitości

Dnia 17. Czerwca

Nr 24.

1857 Roku.

T Herburtowicach

KWESTYA O WILCZY-DOŁEK.

Wydarzona w r. 1706.

Z księgi, pod nazwą *Wilcia*, wypisał
JADAN Z ZATORA.

Godziło się i dawno onę historyję, co w Frydrychowicach przed wiele laty wydarzyła się, umieścić w księdze memoryjałów. Co gdy omieszkali przedniejsi, alic nawet i Chmielowski, człowiek nie źle uczony, w swoich *Nowych Atenach* nie pomieścił, ja, acz żaden Górnicki, jakem słyszał, tak prostackiem piórem opiszę, ku pamiętce tym, którym się dostanie w ręce.

Owóż od tego zaczynam nowy ten *kapitul*: Jużto nie nowina, wioska o kilku panach; stary obyczaj to miał z sobą, iż każde dobre ojczyisko, przenosząc się na tamten świat, miało na pilném baczeniu, iżby puścizna, co zostawia po sobie, równo rozdzieloną została między potomki po mieczu, a ile synów jest, iżby żaden w dziedzictwie nie był skrzywdzon; a równą z drugimi otrzymał cząstkę.

Temuto zwyczajowi, który dobry jest i chwalebny, chociaż nie jedno złe sprawił, przypisać, iż włość *Frydrychowice* do księstwa Zatorskiego należąca, za Bolesławów onych bezchybnie jedną dziedzinę stanowiąca, dzisiaj kilkunastu ma panów i różnego nawet imienia. Wszystkich tu nie wyliczę, ile że poczet byłby to za długi. Blizkie takie sąsiedztwo, niepewne granice, nie mogły nie stać się powodem do sporów; kłótnie, niezgody i najazdy nie były tam nowiną. Wodziła się szlachta po ziemstwach, grodach i trybunałach, sprowadzała komisyje, wizyje i nie po mału zatrudniała zacny urząd podkomorski. A był tam pan Jan *Chebda*, pisał się

z *Tropia*, a pieczętował *Pomianem* i dzierżał wójtostwo w *Frydrychowicach*. Pola jego stykały się z polami pana *Frydrychowski*ego, takż jedną ćwierć wioski dziedzica. Niespokojnego umysłu byłto człowiek ten pan *Chebda* i pieniaka kawałek. Rad szukał sprzeczki, aby się pieniać mógł, bo to był żywioł jego; siedząc spokojnie tęskno mu było.

Urościł on sobie jakieś prawo do *Wilczego-dółu*, tak się nazywało stajanko trzęsawicy, które pan *Frydrychowski* (jako człek gospodarny i zapobiegliwy) wykarczował z pniaka, ubiwszy rowy, wysuszył i nowiznę zasiał owsem. *Wilczy-dółek*, jakem namienił, dotykał się gaju *Chebrowski*. I nie rzadko zdarzyło się, że która krówka *Chebrowska* z przyległego gaju wypadła na to trzęsawisko, gdzie bujniejsza rosła trawka, i pasła się.

Na tym tedy fundamencie gruntował pan *Chebda* swoje prawo do wspólnego użytkowania *Wilczego-dółku*.

W palestrze będąc czas niejaki, liźnął był nieco łaciny i jurysteryi. Zaciągnąwszy wreszcie rady w tej mierze od przyjaciela, niejakiego pana *Czernego*, *susceptanta* ziemskiego zatorskiego, którego maxyma była: *Melior est conditio possidentis*,*) zaczął nasz *Chebda* dybać na okazyję wywarcia aktu posesyi; tym końcem zalecił podstarościemu, ażeby *Wilczego-dółka* nie spuszczał z oka, a skoro owies dojrzeje, dał wiedzenie jemu.

Pewnego tedy wieczora, po nakarbowaniu pańszczyzny, wydanych obrokach, pośladach i dyspozycjach na dzień jutrzejszy, odeszła czeladź, jedno podstarości został, z którym pan *Chebda* długą odbywał konferencyję.

*) Toż po polsku: *Czyja kosa pierwsza, Tegoż łaka szersza.*

I Herburtow

E Betda

Herburtowski

III Betdowski

II Betdowska

IV Betda

V Betda

VI Betda

Herburtowice

Betda

I Betda
 Dobrze już było na noc, kiedy na podwórku zaczęła się zbierać gromada, uzbrojona w pałki, kosy, grabie. Wnet przycołgał się na ganek sam Chebda, ile, że dla podagry o lasce chodził i przy pomocy hajduczka.

Na widok pana uciszył się gwar, odstłonięto głowy i baczne nastrojono ucho. Ciekawość tłuszczy, nie wiedzącej jeszcze o zamiarach Chebdy, a przeczuwającej coś nadzwyczajnego, posunięta była do wysokiego stopnia.

Chebda, zażywszy tabaki, zaczął do zgromadzonych *circiter* w ten sens:

»Jestto prawem opisane boskiem, a ludzkiem po wszystkiej ziemi adoptowane obyczajem, iż jako głowa do wielkich zamysłów sposobna i stworzona, własną kieruje się *impresa*, od innych członków żadnych nie przyjmując *ordynansów*; owszem, gdzie swoje wolę obróci, tam obracają się wszystkich jej poddanych członków *inklinacje*; tak na podobieństwo tego, dzieje się w królestwach, w obozach, w domach i dworach. Głowa dworu jest pan; pan przodkuje podwładnym, a do której myśl pana zmierzy strony, do tej życzliwe czeladzi i poddanych *akkomoduja* się *intencyje*, właśnie jakoby koła wozu, którym woźnica nadaje kierunek, widząc cel i drogę ku niemu, której koła nie wiążą, wszelako idą nią... Macie tedy wiedzieć moję wolę i wypełnić ją, jak Bóg przykazał, gorliwie, ochoczo i prędko. Nie ujmuję ja (broń Boże) panu Frydrychowskiemu jego godności, każdemu, co się godzi; ale wara, niech mi się nie wdziéra, niech sobie nie przywłaszcza tego, co nie jego... Krótko mówiąc: *kwestyja tu o Wilczy-dolek*. Niepraktykowaną do tych czasów zuchwałością poważyl się pan Frydrychowski *uzurpować* prawo, którego nie ma, i gospodarzy sobie na onej trzęsawicy, jakoby we własnym... Hola mospanie! nie dam sobie grać na nosie, i położę tym butnościom tamę, ażeby tak nie było, jakto mówią: *Dozwól kurze w grędy, pójdzie do arendy...* Słyszeliście, wiecie o co *kwestyja*, nie o co innego jedno o Wilczy-dolek, który z dziada, pradziada mnie się patrzy. Mój *adwersarz* dozwolił sobie gwałtu, bijąc rowy, karczując pnaki, karczowisko ono zasiewając owsem, niepraktycznego gwałtu się dopuścił, ja przeciwnie, mocnym obwarowany prawem, prostiej trzymam się drogi, i mocnym jest jako

ów Samson, bo przy prawie, tym *filarze własności*, stoję. Wy wszyscy, com was tu zgromadził, dopomóżcie mnie pokrzywdzonemu, dopomóżcie błagam was, pod surowymi karami rozkazuję. Waści, mości podstarości powierzam kierunek całej tej *procedury*, a tuszę o pomyślnym tej sprawy *sukcesie*. Owies już dojrzewa, mamże zaspac gruszki w popiele? i czekać dopóki Frydrychowski, *usurpator* Wilczego-dółka, do swojej zwieziego stodoły, a potem chlubić się będzie przed światem, z wygranej. Nie doczekam tego sromu, tej krzywdy, złemu w czas zapobiegając. *Ergo*, jedném słowem, owies w pokosy i na wozy, nie dzieląc na poły, do mojej stodoły.«

Kiedy skończył pan, gromada wykrzyknieniem dała oznakę swojej gotowości i ochoty do drogi. Podstarości dosiadł konia, a za nim cała tłuszcza w bezładnym szyku i z nie małą wrzawą biédz zaczęła.

Chebda, posiedziawszy chwilę, gwizdnął w piszczalkę, którą miał na sznurku przy sobie zawieszoną. Wnet pojawił się chłopak i zawiódł pana do izby. Chebda układował się na łożu, pocałował szkaplerz i zaczął odmawiać: *»Ojciec nasz, któryś jest, święć się imię twoje, bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi, cnieoa naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy...«*

»Nie odpuści, nie odpuści winy,« odpowiedział jakiś głos z izby.

Przestraszony panek niepomału, przerwał modlitwę, natężoném uchem i okiem patrzył, słuchał, czekał.

»Panie Franciszku,« znowu się odezwał głos, »gdybyście mnie spytali, jabym był wam rzekł: »Nie czyn bliźniemu tego, co tobie nie miło; nawarzyć piwa, a gorzkie wam będzie.«

»Ej bizona miał Jegomość,« rzekł na to Chebda, rozpoznawszy głos znajomy Jezierskiego, szlachcica starego, który na łaskawym chlebie zastawał w jego domu, nibyto szlachcic na respekcie. »Jegomość mnie przestraszył,« rzecze, »jużem mniemał, że to duch jaki przemawia do mnie.«

»Na złodzieju czapka gore,« odrzekł szlachcic, »bodajto sumienie czyste!«

»Sumienie u mnie czyste, jak tego potrzeba, mam prawo za sobą, i gdy padnie stanąć przed kratą, rozmówię się z panem sąsiadem po łacinie, a potem się pokaże, *quis melius?*«

(187)

»Dla tego właśnie,« rzekł szlachcic, »lepiej było nie obciążając sumienia, wprzód się rozmówić. Frydrychowśki to dobre czelczyśko, nie zamącił nikomu wody. Owóż trzeba było to zdać na *compromis*; uproszone przyjaciół byliby roztrzygnęli te kwestyje i rozwiązali, niktby na tém nie szkodował. Teraz trudna sprawa, wasze nie wykręcisz się sianem, jakto mówią, za moich czasów była mowa: *malé parta idą do czarta*, a z resztą nie mówisz przykazanie boskie: *Nie pożądam ani konia bliźniego twego, ani osta, ani żadnej rzeczy, które jego są.*«

»Ja też nie pożądam żadnej rzeczy, które jego są, odparł żywo Chabda. »Wilczy-dolek, to moja własność, ergo i zbiór z niego, mnie się patrzy.«

»Jeżeli tak jest, rzecze szlachcic, »to pytam się, czemuż to wasze milczkiem? czemu ponocy? czemu taką hurmą ubrojoną w palki i rusznice odbywasz to żniwo? To jest gwałt, gwałt nie chodzi w sprzęży ze sprawiedliwością. Wascin podstarości, *subjektum* to ladaco, słowem, burda jakich szukać; jemu pozwolić strzelby? to jedno co szalónemu dać kij do garści. A nuż (czego Boże zachowaj!), wystrzeli i porani kogo, kto będzie nokutował za to; kto płacił grzywny? jużci nie ręka, ale głowa, tą głową jesteś wasc. Panie Franciszku! uderzcie się w piersi panie Franciszku; ale pacierza daremnie nie mówcie, dzisiaj wasze głosy nie pójdą pod niebiosy.«

Chabda przebrała się miarka cierpliwości, zapyrzony od gniewu, zawołał: »Oj dopókiż tych kazań Jegomość mi się rozgadał széroce; Jegomość mi się rozpiéra bardzo. Haznodziei nie potrzebuję w moim domu; do kościoła z kazaniem; proszę kogo... jaki mi moralista. Nie odstąpię od mego ani piędzią. Słyszał Jegomość, tych *perswazyj* mam dosyć, bardzo proszę; bo pomimo szacunku jaki mam dla wieku Wasana, gotowym się zapomnieć, i na to mówiąc rzec: jeżeli się nie podoba Wasci, to fora z dwora.«

Starowina zmieszany, nie wiedział co na to rzec. »Mniemałem,« rzecze po chwili, »że rada moja nie pogniewa pana Franciszka, bo widzi Bóg serce ją dyktowało. Ale kiedy tak się rzecz ma, to już milczę.«

I wypowiedziawszy dobra noc, poszedł sobie.

Chabda nie bez tego; iżby nie był wzruszony tą pokorą staruszka; przykro mu było, że tak ostrze ofuknął go; ale pomimo tego zasnął, jak gdyby nigdy nic nie było. Alć ledwie zasnął, jakiś widziadła dziwne, jakaś wiklanina pojeć, krzyżów i mar zaczęła się przesuwac wedle niego.

Zbudził się, przetarł oczy, a przekonawszy się, że to wszystko sen, gwizdnął na hajduka.

»No, cóż tam!« zapytał, »wrócili już, sprawili się gracko?... gdzie podstarości? wołaj go do mnie.«

»Jeszcze nie wrócili,« odrzekł w pół spiący chłopiec.

»Do bizona! coś za długo mi bawią, to nie bez kozery; otwórz okienicę, czy już świta?«

»Zaczyna świtać.«

»Idźże, otwórz i okno; duszno w izbie.«

Ledwie co wyszedł hajduczek, jużci lizie do izby stary Jeziński.

»Do bizona! co widzę; Jegomość już na nogach; ranne ptaszę z Jegomości.«

»Nie lubię długiego legania w łożu, więc obulem bóty i wstałem, zwłaszcza że m' słyszał piszczałkę waszą. Dzień wam dobry panie Franciszku. Jakże się spało?«

»Jenićci byłoby się spało, gdybym był Jegomości wczora zaraz prosił o przebaczenie.«

»Jakie przebaczenie?«

»Jakże, nie gniewa się Jegomość na mnie?«

»Jabym się miał gniewać na pana Franciszka, nigdy, przynigdy; człek taki jak ja, nad grobem już stojący, kiedy nie wie, czy doczeka jutra, możeż z gniewem w sercu kłaść się do łożka?«

»Ergo; zgoda z nami; proszę Jegomości o rękę; a ja zamiłuję się Bogiem; że nigdy więcej podobne słowo nie wyjdzie z ust. Dajmy już temu pokój; raczej powiedz mi Jegomość, co to ma znaczyć, że do téj pory ich nie widać.«

»Ja się jeno boję, ażeby ten wascin podstarości nie narobił jakiego licha z tą strzelbą.«

Kiedy to domawiał szlachcic, dało się słyszeć puknienie wystrzelonej strzelby gdzieś daleko.

»Słyszał Jegomość?« ozwał się Chabda do szlachcica, który w starości miał słuch przytępiony.

»Cóż takiego?... może wystrzeliło?«

»Nie inaczej, coś strzeliło?« Szlachcic się przeżegnał; słowa nie rzekł na to.

Betda
 Chebda gawędził jeszcze jaki kwadrans, kiedy owóz zadudnił dziedzińce przed ganek dworu zajechał czterokonny wóz, wkrótce przypędził i podstarości; z trzaskiem wbiegł do izby; napyrzony, z-ziajany i zblocony po uszy, aż okropa brała patrzeć na niego.

»Na miłość Boga, gadajże waść. Jakże udało się wam? Gdzież wozy z owsem? cóż znaczy garstka zgniłego słomka na tym wózku przed gankiem?»

Na te zapytania mój podstarości ochłonałszy nieco, jał się dopiero do opowiadania, które naszpikowane częstym Mospankiem, Jaśnie-panem, Bodaj-cię, zawierało, co tu w krótkości opowiem:

Udała się rzeczywiście nocna ta kośba, nie doznała żadnej ze strony przeciwniej przeszkody. Pokos owsa co tchu grabiami zebrany w kopy, z kopy na wóz. Ledwie co był na wozie, podstarości rozkazał pędzić do domu, co konie wyskoczą. Jakoż i pędził fernal. W szalonej takiej jeździe po dziurach i wer-tebach, jeszcze w nocy, nic dziwnego, że i wywrócił, i z wysokiego brzegu przewaliła się cała kopa z wozem do rzeki w przepaść. Podstarości tuż na koniu pędzący, widząc to, jak nie zacznie klnąć, jak nie zacznie okładać fernala, ledwie się wyrwał chłop z takiego objęcia, wziął nogi za pas, odbiegł i wozu i koni.

(Pokazało się potem, że fernal ów, rozłuszczony na podstarościęgo, pobiegł prosto do dworu pana Frydrychowskiego i tam narobiwszy gruchu, doniósł o wszystkim.)

Koniec końców, kiedy podstarości po półgodzinnej pracy wydobyl z wody i błota ledwie trzecią część owsa (resztę uniosła rzeka ku Wilczemu-dółku) i zdobycz swoją prowadził do domu, zasłyszał tętent jadących za sobą na drodze, posłyszał i wołanie: »Stój! Stój!« Podstarości w strachu (na złodzieju czapka gore); nuż do strzelby, i nie pytając odwrócił się i wystrzelił...

Wystrzałem tym dokazał tyle, że nieprzyjaciel przestraszony, widząc, że to nie przelewki, zaniechał dalszej gonitwy.

Podstarości, nie turbowany więcej, przyprowadził szczęśliwie zdobycz swoją do dworu. Kończył opowiadanie podstarości przechwałkami, że walenie się spisał, a skórka na bity Frydrychowski, z Wilczego-dółka ani dźbła suchego nie liźnie.

Betda
 »I my,« odparł na to Chebda, »nie zebraliśmy tak bardzo sucho, jakby należało; to zblocone słomsko nie zda się, chyba pod bydło, do gnoju; ale to mniejsza... o punkt honoru tu chodzi, nie o podłe zyski; z resztą cel osiągnąłem; nowe mam *ponderosum argumentum* mojej Wilczego-dółku *posesyi*. Dobrze się waść sprawił, kontent jestem z wasana, nie omieszkać przy okazji pamiętać. Teraz idź wasze, odpoczniej sobie, a tym co byli na tej wyprawie, nakarbować po dniu całym.«

»Cóż Jegomość na to?« przemówił Chebda do starego Jezierskiego.

»Kto ja?« zapytał szlachcic, pukając palcem po próżnej tabakierce; »ja grzesznik nie sądzę równego sobie. Ale ten,« i wskazał ręką do góry, »będzie sędzią w tej sprawie!... Czy mi się zdaje, coś dzwoni?«

»Dzwoni, chyba w uszach Jegomości!« odparł Chebda, bo już zaczynał się gniewać na staruszkę, za wzmiankę o przedwiecznym sędziu.

(Zaiste, niepewna twoja sprawa, o człeku! jeżeli na samo wspomnienie o sędziu już się wzdrygasz? a cóż dopiero będzie, kiedy staniesz przed nim!)

To *intra parentesim* powiedziawszy, dalszych wypadków czynięj relacyją:

Byłoto około południa. Przyjechał konny jakiś, konia uwiązawszy u kółka, walił prosto do dworu.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

»Na wielki,« odrzekł Chebda. »A z kąd wasze? z jakim interesem?« zapytał, sądząc z delikatnej twarzy i ubrania, że przybylec zakrawa na panicza.

»Jestem ci wysłan od tatunia, od pana Frydrychowskiego.«

Chebda to słysząc, zaindyczył się okropnie, a nadał jak półtora nieszczęścia.

Panicz nie uląkł się strasznej jego miny i swoją rzecz gadał śmiało, i jak na młodzianka, który *atwaru* jeszcze nie skończył, dosyć rozumnie: »Tatunio kłaniają się panu sąsiadowi i mają prośbę.« Chebda zbutniał jeszcze więcej na to słowo prośba... »Mają prośbę do pana sąsiada, abyście byli tak dobrzy i nawiedzili go dzisiaj. Tatunio życzą sobie tego bardzo, ażeby się pogodzić mogli z panem sąsiadem.«

»Co, ja mam jechać do niego? nie pojedę!« odrzekł z gniewem Chebda; »równa jemu droga do mnie.«

»Ale bo tatunio kazali powiedzić panu sąsiadowi, że są chorzy, sami nie mogą.«

»To nie ma nic do tego, poczekam aż wyzdrowieje, nie pali się przecie?«

»Ale tatunio kazali pięknie prosić pana sąsiada; tatunio *submituja* się honorem, że panu sąsiadowi bynajmniej nie ubliżą, na uczciwość; zemsty na niego nie pragną wcale, a gdyby pan sąsiad nie chciał dać mi wiary i miał jaką obawę, to ja mam tu pozostać, dopokąd pan sąsiad nie będzie z powrotem.«

»Ba jeszcze co,« fuknął *Chebda*, »takiego szarapetkę zakładnika nie potrzebuję, ani mi tak pilno do zgody. Proces rzecz nie nowa u mnie, nie chcę zgody; jeżeli tatunio twój widzielić mnie rad, zobaczymy się przed kratą sądową; powiedz tatuniowi, że między nami nie ma zgody.«

»A czemuż to pan sąsiad nie chce nachylić się do zgody, której tatunio tak pragną? mówiłem wam, że są chorzy, i dla tego przysłali mnie do was.«

»A jam nie doktor żaden, ani ksiądz, abym jechał do chorego.«

»Więc taka pana sąsiada ostatnia rezolucja?« zapytał młodzianek.

»Taka.«

»Tatunio będą mieli żal do pana sąsiada, może i wy, panie sąsiedzie, pożałujecie tego.«

»Patrzajcie go, jakie mi małe, a zuchwałe; nie potrzebuję żadnych poselstw; sprawiłeś swoje, teraz ruszaj. Krzyż na drogę!«

»Bogu was oddaj!« rzekł młodzian.

I jak przyjechał, odjechał; u upartego panka nic nie sprawiwszy.

Chebda wezwaniem tém *Frydrychowskiego* rozjątrzony na nowo, po staremu jał wygadywać na sąsiada, zarzekając się, że choćby cały majątek miał pójść na proces, póki życia nie przystąpi do zgody.

Stary Jeziński, dawszy mu się wygadać do woli, dopiero zaczął nieśmiało z razu i ostrożnie czynić mu refleksyje, a mądra i powolna perswazyja tak skonwinkował *Chebde*, że już przychodziło do żalu jemu, że *Frydrychowczyka* młodego odprawił tak z kwitkiem. Jeziński tyle nawet dokazał wymową swą, że *Chebda* jał żałować szczerze, iż nie uczynił zadość prośbie *Frydrychowskiego*. I gdyby w synie tegoż miał zakładnika w domu i zabezpieczenie, że mu się nie stanie nic złego,

niechybnie byłby pojechał do sąsiada. Do tego stopnia on uparty grzesznik, do upamiętania się refleksyjami Jezińskiego naprowadzony został. Ale grzesznik każdy, jeżeli pragnie nawrócić się na drogę prawości, a widzi ją zamkniętą, niech upatruje w tém już karę boską, która jako cień od ciała, tak nieodstępna od grzechu jest, właśnie jakoby z nim połączona węzłem nieśmiertelnym.

Po zachodzie już było, siedział *Chebda* przy stole wieczornym, i zjadał smaczno; nie tak Jeziński, ten przechadzał się po izbie, turbacyjami jakimiś trapiiony.

»Porzuć już Jegomość te gorzkie żale; bigosik z jabłkami wysmienity; otóż raki nam niosą... siadajno Jegomość, siadaj, każę poszukać w piwnicy, może się tam znajdzie jaka butelczyna.«

Temi słowy proszony odrzekł: »Dziękuję panu Franciszkowi. Dzisiejsze wypadki nie mogą mi wyjść z głowy, i bodajem był fałszywym prorokiem; ale nie przewiduję ja z tego nic dobrego.«

»Z czego? żem się nie stawiał na rozkaz pana *Frydrychowskiego*...«

»*Frydrychowski* nie rozkazywał, ale prosił grzecznym słowem.«

»Co się odwlecze, nie uciecze.«

»Bodajby się sprawdziło to przysłowie.«

»A *supplikuję*, jakaż może ztąd wyniknąć zła *konsekwencyja*, jeżeli pojedę jutro tam, gdzie dziś jechać omieszkiał?«

»Pojedzie pan Franciszek? czy tylko pewnie; proszę mi dać rękę na to.«

»Zaraz, zaraz; nie widzi Jegomość, że teraz mam do czynienia z rakami; to moja faworytalna potrawa, szkoda tylko, że się biędne tak męczą, nim je ugotują.«

»He, he, panie Franciszku, czy mi się zdaje... dzwonią.«

»Do bizona! ktoś umarł; we wszystkie uderzyli dzwony.«

A rzeczywiście dało się słyszeć głośnie dzwonienie na wieży parafijalnego kościoła.

»Hej, jesteś tu,« zawołał *Chebda* na hajduczka, »postaw talerz, a skocz co żywo na plebaniją i dowiedz się komu to dzwonią, i wracaj... jeszcześ tu?«

Pobiegło chłopię i za chwilę nie długą wróciło z nowiną, że pan *Frydrychowski*, dziedzic na *Frydrychowicach*, nagle pomarł.

Herbert

Betda

Betda

Betda

Herbert

Betda

Herbert

3
+ *Betda*

Frydrychowskiego

Frydrychowski

+ *Betda*

+ *Frydrychowski*

Jezierski złożył ręce do pacierza, na środku pokoju ukleknawszy, zaczął mówić: Anioł Pański za umarłym.

Betda Chębda głęboko się zasmucił. Nie było już tam ochoty do jada, ani do żartów. Zbladł i zsiniał, jak ten obrus na stole, przed którym siedział. Wielka żalność opanowała duszę jego i smutek wielki. A w izbie tak cicho się zrobiło, iż muchębyś słyszał przelatującą. I długo tak było. Chębda pierwszy przemówił:

»Mam prośbę do Jegomości. Czy Jegomość będzie taki dobry i pojedzie ze mną tam?»

Betda »Rozumiem,« skinął głową Jezierski. Chębda rozkazał co tchu zaprzęgać do kolasy — alic oto hajduczek przybiegł z tém: że podstarość, zabrawszy w zawiniątko odzież swoje wszystką i bieliznę, wsiał oklep na konia cugowego, i drapnął, jak się zdaje, na piękne.

Ta nowina kiedy indziej gniewu byłaby powodem, teraz nie tyle gniewu sprawiła, ile niepokoju i obawy, budząc w sercu okropne domysły, ażali on, tak nagle zbiegający podstarość, nie jest winien tej śmierci Fryderykowskiego? ażali tym wystrzałem nie poranił samego pana? a co okropniejsza, ranieniem śmierci nie zadał?

Jezierski dopadłszy tej samej myśli, struchlał ze zgrozy i przestachu, i pierwszy uczynił reflexyję, iż w takowym razie rozsądek nie radzi, jadąc do domu, nieboszczyka, wystawiać się na widoczne, jakie tam jego wolności, a może i życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Ale Chębda nie dał się żadną miarą odwieść od tego: »Niech się stanie, co chce!« rzekł. »Cokolwiek mnie tam spotka, przyjmę to wszystko, jako chłostę od Boga za grzechy moje.«

Wsiedli do kolasy i pojechali. Jezierski modlił się przez całą drogę. Chębda siedział, jakby go nie było w pojeździe. (Dokończenie nastąpi.)

S C E N A

PRZED SĄDEM PRZYSIĘGLYCH.

w Old-Bailey.

Dnia 24. maja b. r. sąd przysięgłych w Old-Bailey, w Anglii, miał bardzo ważną sprawę kryminalną do roztrzygnięcia, której osnowa z następujących badań najlepiej się wyświadcza, i niepodobna, aby serca ludzkiego nie wzruszyła. Oskarżony jest malarzem portretów Jerzy Hammon.

Sędzia. »Imię twoje, wiek i sposób do życia?»

Obwiniony. »Nazywam się Jerzy Hammon, mam lat 41, jestem malarzem portretów.«

S. »Wiesz o co jesteś obwinionym? Zabites tancerza na linie Jana Baldwin. Czy uznajesz się być winnym tej zbrodni, albo nie?»

O. »Prawda, że go zabitem. Byłoto moje nieszczęście, które oplakuję, lecz w sercu i sumieniu mojem nie czuję się winnym.«

S. »Po takowem wyznaniu możesz się sędz. Współobywatele twoi, parowie, sądzić cię będą. Bóg niech będzie tobie obroną.«

W tém miejscu pisarz sądowy odczytał akt oskarżenia, a najstarszy adwokat wnosil, że lubo jeszcze żaden oskarżony, na większą nie zasługiwał litość, zostawiając to jednak łasce królewskiej, żądał skazania winowajcy na karę, z oświadczeniem, że prawo nikomu nie pozwala być sędzią własnej krzywdy.

Na zapytanie sędziego, czy obwiniony ma jeszcze dać co na swoje obronę, oświadczył, że czuje potrzebę, raz jeszcze opowiedzieć w krótkości całą swą sprawę:

»Trzy lata już minęło, jak utracifem dziecię, córeczkę, ledwie czteroletnią, jedyny zakład miłości najdroższej małżonki, która już na łonie Boga spoczywa. Utracifem dziecinę tę nie przez śmierć, jak jej matkę — lecz zniknęła mi — ukradziono ją!... Byłoto śliczne dziecię; prócz niej nie miałem nikogo na świecie, kto-by tyle mnie kochał... O moi panowie! co ja ucierpiałem... Nie, nie powiem wam tego, wybyście mnie nawet nie zrozumieli. Na same ogłoszenia przez dzienniki, nad aremne poszukiwania dziecięcia mego, utracifem wszystko, co moje własność stanowiło; sprzęty, obrazy, moje zbiory, wszystko sprzedałem. Trzy lata, sam jeden pieszo, trzy lata biedny ojciec, przebiegałem wszystkie wieś, najmniejsze zagrody trzech królestw, wszędzie córki mojej szukając, lecz zawsze nadaremnie! Nakonieć dnia 14. kwietnia, byłoto w piątek, przechodzę przez Smithfield, i w środku rynku spostrzegam widowisko tancerzy na linie. Dziecię głową postawione na szpicu halabardy, obracało się młynkiem... promień duszy matki jego musiał przedrzeć się w tém oka mgnięciu do mojej... byłoto moje biedne dziecię!... Gdyby matka ujrzała je była w tym stanie, rzuciłaby się na nie — aby je uściskać!... ale ja — ja rzucifem się... na cztowieka — i nie wiem, jak się stało, z natury słaby i łagodnego charakteru, porwałem go, przecieź za ubior jego tancerzki — podłazifem silnie w górę i rozbiłem o ziemię... tak, iż zaraz został bez życia!... Poźniej gniewałem się sam na siebie, że mógłem być tak dzikim, lecz w owęj chwili, wściekałem się od gniewu, że go nie więcej razy — tylko raz jeden zabić mógłem!«

S. »Ależ podobne wyznania nie są godne chrześcijanina, lubo tak łatwe do pojęcia. Dla twego własnego dobra nie wypadało ci wynurzyć się tu z niemi. Jakże chcesz, aby ci Bóg i sędziowie twoi przebaczyli, kiedy sam nie umiesz przebaczać?»

O. Nie wiem, dostojni sędziowie, jaki na mnie wydadcie wyrok, ale za prawdę pewny jestem, że mój Bóg już mi przebaczył. Wy nie wiecie, ja sam nie wiedziałem wszystkiego, jak dalece wielką ten zły cztowiek wyrządził mi krzywdę! Ale gdy ludzie miłosterni przyprowadzili mi córkę moję do więzienia — nie była ona już tak piękna jak dawniej — usłyszałem z jej ust grubiańskie przeklinania, ujrzałem ją wynędzniałą, sponiewieraną... i zhańbioną przez niegodziwe obchodzenie. Ona mnie nawet nie poznała... córka moja, nie poznała matki!... Czy pojmujecie mnie teraz, sędziowie? Usmiech anielskiej duszy mego dziecięcia, on mi ukradł, ten nędznik!... a ja — ja tylko raz mógłem go zabić!«

Przydujący przysięgłych do sędzięgo. »Milordzie, nasze przekonanie już jest zgodne.«

Sędzia. »Pojmuje to dobrze, zacni panowie, ale prawo musi być zachowane. Proszę pierwój wystuchać mego wniosku, a potem udać się do sali obrad.«

Tak się też stało; lecz przysięgli, wyszedłszy zaraz na powrót, wyrzekli: »Jerzy Hammon jest niewinny!«

Jerzy Hammon musiał być pod strażą do domu odprowadzonym, bo kobiety na rynku zgromadzone na rękach w tryumfie odnieść go chciały.

Romantycy

DNIA 24. CZERWCA

Nr 25.

1857 Roku

KWESTYJA O WILCZY-DOLEK.

Wydarzona w r. 1706.

Z księgi, pod nazwą *Wili'a*, wypisał
JADAM Z ZATOKA.

(Dokończenie.)

Betda
Herbert
Cicho zajechali przed bramę Frydrychowskiego podwórze. *Chebda* nakazał woźnicy, aby bez wrzawy dojeżdżał, a broń Boże z batą nie trzaskał. U bramy wysiedli obaj. Jezierski acz staruszek, wspierał młodszego *Chebde*, który dla bólu w nodze ledwie stąpać mógł. Już takato była natura u niego, że byle miał frasunek jaki, jużci i podagra wracała, a z nią okropne bole. W tej chwili czuł najokropniejsze, przecież by kęs nie stęknął, ani cyknął. Stary Jezierski, co go znał właśnie jako siebie samego, poznał od razu, że biédaczysko cierpi, obiema rękoma wspierał go, a pomagał idącemu. »Boli noga znowu?« zapytał.

»Co tam noga! głupstwo; tu w sercu gorzej dolega,« odrzekł biédak.

Milczkiem przeszli wedle kuchni, gdzie duży płomień palił się na ognisku i wrzawa była, śnać czeladź wszystka tam zebrana gwarzyła, jakto bywa w nadzwyczajnych wypadkach. Za lipami dworzec stał taki cichy i ciemny, właśnie jakby obumarły.

Jakie tam bicie serca było, jaka żalność w duszy, kiedy przyszło wstąpić do tego żalobnego domu! Okropna cichota wszędzie zgrozą przejmowała wskrós.

Minęli sieni, izbę jedną i drugą, dopiero spostrzegli światelko, wychodzące nie dobrze zawartými drzwiami z komory ostatniej.

Betda
Z cicha odchyliwszy drzwi, stanęli w progu obadwaj, *Chebda* i Jezierski, i obaj otruchleli na widok wyciągniętego na łożu trupa.

Jezierski starzec zapłakał jak dziecko.

Betda *Chebda* żegnając się, ukląkł w progu.

Ach! jakito był widok dla patrzących; ten na środku izby wysunięty tarczan, na nim Frydrychowski nieruchomy, jak postać marmurowa na nagrobku, oczy zamknięte, a czoło siwizną opasane, gdyby śnieżnym wieńcem, spokojne, właśnie jak i serce leżącego, które bić przestało; w rękach, na krzyż założonych, paciorki i krucyfiks. Dwie gronnice na wysokich lichtarzach, jedna z prawej, druga z lewej strony trupa, a przy nogach tegoż klęczący, płaczący, jęczący syn.

Fletburt
Kto nie widział jakim sercem ten synek młodziuchny młował swego ojca, oby był przyszedł natenczas, a patrzył na oną gorzką żalność, płacz i ręk łamanie, oby był słyszał jego przerażający głos, w którym wszystkie boleści, i wszystkie siły życia zdawały się być skupione, i wołały do ciała leżącego, w którym nie było już duszy, w którym nie było już tego, co go kochało — serca.

W tym wołającym głosie rozpaczy, te jedne były słowa: »O mój ojczel! mój ojczel! o mój ojczel! drogi mój ojczel!... O Boże! ty Boże! mój ojciec... drogi mój, kochany mój, najserdeczniejszy mój!... Nie słyszysz mnie, nie widzi mnie... o Boże! Boże!«

I obiema rękami drgającymi chwycił się głowy, rwał sobie włosy, jęczał, twarzą wciskał się, tarzał się w słomie, którą wysłany był tarczan.

Litością wiedziony stary Jezierski przystąpił do sierotki, chwycił go za rękę i przemówił jakieś słowo po cichu.

Młodzian spojrział na starca z takim wyrazem właśnie, jakby go o coś prosił. Alić ledwieco spostrzegł klęczącego *Chebde*, wydał

krzyk przeraźliwy, skoczył po pistolet jakiś zardzewiały, który na ścianie tam wisiał nad kanapą.

»Ty, ty morderco!« zawołał, »pójdź tu!« i chwycił go za rękę, »pójdź tu!« i przywłókł go do trupa. »Patrz, patrz!« i odsunął płócienne nakrycie, i odsłonił skrwawione piersi trupa. »O Boże!... a ja mu przebaczyć mam? On zabił mi ojca. O mój ojczy, mój ojczy! jakiś ty dobry był do ostatniego momentu; pocieszał mię, że to nic, że z tej rany nie umrze. O Boże! a ja mu przebaczyć mam. Chębda, ty zły człowieku, odejdz; odejdz ztąd... zapomnę się... oczy ci wydrę, morderco!«

Nie będę tu opisywał onych męczarni i zgryzoty sumienia, przez które przechodził Chębda w cierpieniach dusznych; przytępiało i czucie na cierpienia cielesne. Ale gdy przyszło wstać i do kolasy się dostać, dopiero odezwał się ból w nodze srogi, iż omal nie stracił zupełnej przytomności.

Przyjechawszy do domu, zaniesiony został na łóżko, i nie jeden tydzień w niem przeleżał.

Trzebaż tedy, jakto bywa, chorego na-wiedza to ten, to ów; przybył ci do Chębdy przyjaciel, niejaki pan Czerny, susceptant ziemski zatorski. Człowiek ten drobnego wzrostu, na podobieństwo onego króla Łokietka, zadzięrał jednak nosa; mianowicie kiedy miał z tobą czynność jaką; słowem, był on jednym z tych, co to u nich więcej powagi, jak wagi. Ale że dobre serce miał, tego i sam nieprzyjaciel ująć mu nie mógł, zwłaszcza z kim w przyjaźni żył.

Przywitał go gospodarz, dziękując, iż smutne jego łożę raczył *serenare prezencyją* swoją.

Pan susceptant odrzekł na to komplementem: »Je sobie za szczęście to poczytuje, *inter penates* domu jego, godne *numen* gospodarza, nie tylko oglądać, ale *cum omni sensu* powinnęj *adoratii* oddać temuż *honor*, który sam *in persona* składa w progach jego.« Dalej dodał: »Jak skoro żałobne doleciało go echo smutnej nowiny o chorobie wpana brata, nie chciał *praeterire* tej *okazyi* niesienia z *condolencyją renovationem* braterskich ku niemu afektów; atoli *acumulatia* czynności *magnae importantiae*, życzeniom jego tamę, a *sperato gaudio* sprawiły *alienacyją*.«

Po takim wynurzeniu *sentymetów* braterskiego przyjacielstwa, pan susceptant przysunął sobie krzesło bliżej łoża, a troskliwie obejrzawszy się, żali kto nie podsłuchuje, napomknął, iż ma do powierzenia *arcanum magni ponderis*.

»*Notabene*,« rzecze, »*questionis* tajemnica, tycząca się blisko pana Chębdy, ma pozostać pod pieczęcią wiecznego milczenia. Odkrycie onęj ściągnęłoby *magnam responsalitem* na jego *personę*.«

Chębda przyrzekł, iż nie zawiedzie położonego w nim zaufania; poczem pan susceptant opowiedział interes cały, który był ten: iż *anonymus* jakiś czynił do grodu zaskarzenie na Chębdę, czyniąc *relacyję*, że najechał Frydrychowskiego i poranił go w taki sposób, iż poraniony z tej rany umarł.

Atoli susceptant sprawił, iż ta żałoba do *regestru* swojego nie weszła; takim sposobem sprawa upadła sama przez się. Urząd *instygatorski* popierać jej nie będzie, ile żeto nie było wola Frydrychowskiego, który owszem w testamencie swoim wyraźnie zalecił, ażeby syn, tegoż sukcesor, żadnych w tym względzie nie rozpoczynał prawnych kroków, i nie żałował na Chębdę.

»Nie chciałem,« mówił dalej pan susceptant »*aberare* odsentymetów przyjaźni dla wpana i brata, które *indelibili caractere* w mojem zapisały się sercu, i w tej sprawie mniemam postąpiłem tak, jak nakazywały zawsze życliwe moje ku niemu chęci. Końcem zaspokojenia go w tej mierze, mam owóz ze sobą kopiję testamentu s.p: pana Frydrychowskiego, którą, jeżeli wola, wraz zaintymuje.«

To powiedziawszy wydobyl rzeczoną kopiję testamentu i wręczył ją Chębdzie, który nie bez smutnego wzruszenia rozwinałszy papier, czytać zaczął. Testament Frydrychowskiego takiej był osnowy:

»Widząc się być już blizkim śmierci, wzbudzam w sobie tę pocieszającą wiarę, która »jak mnie wspierała w życiu, tak teraz ostatnie osładza momenta — tę wiarę, że Bóg »litościwy miłosierdzie nademną mieć będzie, »i tym ułomnościami, których słaby człowiek »winiem się stałem, przebaczy. Byłem czło- »wiekiem grzesznym, jako inni ludzie, alić »nie byłem nigdy krzywdzicielem bliźniego; »nie znałem złości i zdradziectwa, nie znałem

Betsda,

Betsda

Betsdy

Betsda

Betsda

Betsda

Betsda

Herbert

Bets

Herbert

Herbertow-

»podłej zemsty. I tobie mój synu błogosławieństwem zalecam, nie pragniej zemsty na Chebda, który sprawcą jest śmierci mojej, nie wszczynaj żadnego z tym człowiekiem procesu. Nie zemsta, ale darowanie winy jest cnotą, przy cnotcie zawdy stój mój synu, mój drogi. Karę za zbrodnie zostawny sądziemu w niebie; on zna serca ludzkie, a wielkość winy Bóg jeden sądzić i ukarać umie. Gdyby był, gwoli wezwania mego, mnie wystawiającemu rękę do zgody, podał swoje, idącemu dziś do przybytku wiecznego, tam na tamym świecie, prosiłbym Boga za nim; ale on Chebda, śmierci mojej sprawca, wzgardził słowem, wyszydził prośbę, rękę zgody odepchnął. Zapozynam go tedy przed sąd boski; konającymi ustami wzywam go do stawienia się przed Majestat Niebieskiego Sędzi. Od dziś za rok, w rocznicę mojej śmierci stanie tam, gdzie ja dziś będę.«

Daliej następowało rozporządzenie, tyczące się majątku, którego już nie odczytał Chebda. Właśnie, jakoby mgła jaka zacięła mu wejście, na twarzy zsiniał na podobieństwo trupa i padł głową na poduszki, jak człowiek z przytomności wyzuty.

Szczęście to było, że Jezierski w porę wrócił z pola, a na wrzaskliwe zawołanie susceptanta o ratunek, przybieżał w pomoc.

Biędny susceptant, albowiem nie umiał leczyć tej rany, którą zadał; nie długo też i bawiąc, odjechał, nie omieszkawszy wynurzyć, iż żalobę, jaką przy otwieraniu drzwi wynosi z domu tego, nie prędzej złoży z serca, pokąd zdrowie wpana gospodarza *novam et hilarem* nie przybierze *faciem*, czego po boskiej pomocy, *non tamen sine cura*, wyglądać będzie.

Co się z Chebdą działo, powszednie pióro nie podolało tego opisać; właśnie jak i żaden malarz nie umiałby oddać na płótnie wyrazów jego twarzy, na której rozpacz swoje wytłoczyła piętno. Przyszedszy do przytomności i do mowy, pierwsze jego słowo było: »Jestem zapozwany przed sąd Boga. W rocznicę zgonu pokrzywdzonego, za rok, w dzień 1. września, stanę przed Bogiem!... Wzywał mnie do zgody, podawał dłoń bratnią; a jam nie stanął, ręki zgody nie przyjął; biada mnie, biada!«

Jezierski litością wiedzion nad biędym, usiłował dodać mu otuchy, i to przekonanie, że słowa umierającego koniecznie spełnić się mają, refleksyjami osłabiał i pokonywał.

Daremno była robota; nie podolał zachwiać w nim wiary w prorocstwo nieboszczyka, nie podolał uspokoić Chebda, widzącego przed sobą już blizką, a pewną śmierć; żał tego świata, który wkrótce opuścić miał i trwoga przed sądem boskim, kołatała rozpaczającym do tyła, iż na wszystkie czynione mu perswazyje głuchy, jedno głos wewnętrzny przecucia słyszał i grób otwarty dla siebie zawdy miał przed oczyma. Godny oplakania był stan tego człowieka, a zaiste i litości godny, podobny właśnie do udręczeń delinkwenta, któremu dekret śmierci już odczytano.

Alcie o człowieku! który wiesz, że umierać przeznaczaniem jest twojem, przezco bierzesz pochop do rozpacz i frasunku z tą, że masz objawiony sobie kres pielgrzymki? naznaczony dzień, w którym tę ziemię, gościnę twoją opuścić masz? Cóż cię tak przeraża? nie lepiejże temu, który wiedząc o dniu podróży, wszystkie do swojej drogi poczyni przygotowania?... Alcie tak mocne jest ono przywiązanie do życia, iż ten nawet, który życie ciężarem być mieni, wzdryga się zrzucić z siebie dobrą wolą ten, pod którym stęka, ciężar. *)

Długa, a może i zbyteczną byłoby rzeczą powtarzać one smutki i żale, które rozwodził nieszczęśliwy Chebda. Ucichł nareszcie, jakoby mu już płaczu i słów nie stało. Nadeszła noc, czarnym jego myślom nadając nową okropność, zapełniając je widmami i marami. Noc całą paliła się lampa. Przy czuwającym czuwał stary Jezierski. Trzy pierwsze dni Chebda nie tknął się jadła, ani spał.

Czwartego posilił się nieco, a snem porzeczony po przebudzeniu się podał rękę Jezierskiemu, jął go pytać o potoczne rzeczy i długo rozmawiał ze starym swoim przyjacielem; nie bez tego wszelako, ażeby śród rozmowy nie wracał czasami do swojej, co go trapiła myśli, często bowiem powtarzał pytanie, właśnie jak gdyby nie słyszał Jezierskiego dawanych mu odpowiedzi.

*) W Polsce chęć do samobójstwa nie znana była; choroba ta, również jak wiele innych, na ziemi naszej obcą ręką zaszczipioną została.

Uplłynął tydzień jeden i drugi. Luboć *Betda* Chebda przyszedł znowu do zdrowia, w udre-
 czeniach, które doświadczał, żadnej folgi nie
 miał. Te co go dawniej zajmowały i zatrud-
 niały sprawy domowe i gospodarskie, za-
 łatwiały Jezierski. *Betda* Chebda zobojętniał na wszy-
 stko; a bywało, gdy Jezierski zachęcał go do
 wyjścia w pole, do orzby, albo do gumień,
 gdzie młócono, dziedzic *Betda* Chebdówki odpowia-
 dał na to z westchnieniem: »Nie dla mnie to
 orzą, nie dla mnie młóć!« Nic go nie cie-
 szyło; doniesiono mu o jakiejś szkodzie w polu,
 lub oborze, nie zmartwiło go to bynajmniej.
 Dziwili się dworscy, a czeladź przypisywała
 to czarownikowi, który że urzekł pana nie
 było żadnej o tém wątpliwości.

Już i zima nadchodziła. Już i rok Pański się
 kończył, nowy nie zwiastował żadnej dobrej
 odmiany w smutnym stanie naszego pokutnika.

Ono w dzień S. Jana Chryzostoma, patrona
Betda Chebdy, zjechało się gości wiele z gratula-
 cyjami do solenizanta. Jezierski, nie rzekłszy
 nic, pospraszal na ten dzień znajomych i
 łaskawych, sprowadził antałek wina z Zatora,
 i poczynił, jakie należało, do tego festynu
 przygotowania; wszystko potajemnie, bo tu-
 szył sobie, iż w licznie a wesołem przyjaciół
 gronie, by na chwilę *Betda* Chebda zapomni o tym,
 co mu dolęga smutku. *Betda*

Stało się jak przewidział; owszem, *Betda* Chebda
 nie tylko o smutku zapomniiał, ale rozocho-
 cony towarzystwem i winem, oddał się zupeł-
 nej wesołości, a kiedy rozochoconą kompaniję
 jeden z sąsiadów do swego domku zaprosił,
Betda Chebda nie odstrychnął się od towarzystwa.

Po kolei przeniosła się szlachta do trzecie-
 go, potem do czwartego z sąsiednich dworów;
 spłynął jeden, spłynął i drugi tydzień na
 ustawnych ochotach i bankietach.

Na ostatki cała biesiadnicza kompanija zwa-
 liła się kuligiem do kasztelana Oświęcimskiego
 do Zatora, z nią i *Betda* Chebda z Jezierskim.

Kasztelan wystąpił suto i spaniale. Na
 bankiecie wyprawionym na zamku Zatorskim
 było sto osób. Obiad na dwa stoły, po obie-
 dzie tańce, młodzież przy paniach, starsi przy
 kielichu. Już i zdrowia zabrakło i koncep-
 tów ochoczemu gospodarzowi. Było już *Betda* po-
 myślności po raz trzeci nie ustającej taski,
 et caetera. Jezierski lubo się radował, widząc
 Chebdę w wesołości i ochocie nie ustępują-

cego innym, wszakże około północy, dopadł-
 szy sposobnej chwili, odciągnął go na stronę
 i szepnął na ucho:

»Panie Franciszku nie będzie tego nadto?
 Ostrożnie zaglądnijcie do kieliszka, bo ta po-
 dagra wasza upomni się o swoje.«

»Jegomość ma prawdę,« odrzekł *Betda* Chebda,
 »trzeba pofolgować ochocie.«

»Pan Franciszek możeby się przespał trochę?«

»To trudno, przy takiej wrzawie; raczej
 wyjdźmy sobie na świeże powietrze, to
 głowa prędzej wyszumi.«

Cichaczem, nie mówiąc nikomu, wyszli obaj,
Betda Chebda z Jezierskim, z zamku po wschodach
 na podwórze. Noc była miesięczna, jasna jak
 dzień. Głosy wykrzykujących, granie kapeli
 i tupot taneczników, dobrze słycać było i
 na dole, ale im więcej oddalali się od zamku,
 tém mniej było słycać do fary; nie do-
 chodziła już wrzawa.

Minęli farę, na zakręcie uliczki co pro-
 wadzi na rynek, zatrzymał się *Betda* Chebda.

»Może się wrócim?« zapytał Jezierski.

»Proszę o tabakierkę,« rzekł *Betda* Chebda.

»I owszem, suplikuję,« rzekł Jezierski i
 dostał tabakierki srebrnej, której na wielką
 tylko galę używał.«

»Mam z Jegomością co do mówienia,«
 rzekł *Betda* Chebda.

»Słucham pana Franciszka.«

»Dishonor mnie spotkał w domu kaszte-
 lana,« rzekł *Betda* Chebda.

»Jako?« zadziwił się takową mową słyca-
 jący go Jezierski.

»Zem ja mospanie (mówił dalej *Betda* Chebda
 w zapał wpadając) podupadł na majątku,
 zawszem mospanie szlachcic, po mieczu i
 kądzieli; Pomiańczykiem nie pomiataj, do stu
 dziadów! Pas lity czy nie lity; w każdym
 czasie szabla jest przy pasie. Pan kasztelan
 musi mi dać satysfakcyja.«

Jezierski zadziwiony zażądał objaśnienia
 w tej mierze, na co *Betda* Chebda:

»Prewencyi nie jestem przyjacielem, ale
 nie pozwolę na to, ażeby mnie *Betda* posponowano,
 a dla czegoż proszę usadowiono mnie przy
 marszałkowskim stole? he?... albożto ja na
 chlebie u kasztelana? w barwie jego cho-
 dzę? czy co?... Nie stałem nigdy za stoł-
 kiem niczym... gdybym był nie uważał
 na kompaniję, byłbym już ja nauczył tego

panka, *pospolitować* mnie do takiego stopnia. Mospanie...»

Jezierski, nie przerywając mówiącemu, radował się w duchu, tak myśląc sobie: »Już ty z choroby twojej umysłowej wyleczon jesteś i ze światem pogodzony znówu, kiedy cię zajmują takie marne rzeczy. Gniewaj się nieboże gniewaj, a ja cieszę się z tego gniewu twego.«

Tak myślał starowina, ale *Chebda* nie zartem się odgrażał na kasztelana, mówiąc: »Już jaby był narobił konfuzyi w domu, gdybym nie był baczył na to... ale (dodał) cóż ja tam baczę, jakież tam oto stoi niewiasta, biała, nieruchoma, widzi Jegomość?«

»Gdzie? tam? przed tym domkiem? widzę iście to niewiasta, ale ciała kamiennego, to *statua* jeno; stoimy przed pomieszkaniem tego Szlązaka kamieniarza, coto nagrobki robi.«

»Z doprawdy, a mnie się zdało... przybliżmy się i z blizka przypatrzmy się tej kamiennej pani.« I zbliżyli się do domku, przed którego oknami leżały bezładnie płyty kamienne, nie obrobione jeszcze, a między temi kilka ukończonych już nagrobków. *Chebda* nachylił się ku jednemu, co miał kształt sarkofagu. Miesiąc przeświecał jasno, można było odczytać napis wyryty na nim, a był ten:

D. O. M. *Herbertowski*
Fryderyk Fryderychowski
zasnął śmiercią sprawiedliwych
dnia 1. Września.
Czeka na sąd ostateczny.

Byłto nagrobek, przeznaczony na cmentarz w *Frydychowicach*, gdzie złożono zwłoki *Fryderychowskiego*.

Te wyrazy na kamieniu okropne sprawiły wrażenie na czytającym. *Chebdę* na pół żywego odwieziono do domu.

Cztery tygodnie z przytomności obrany, przeleżał na łożu, biedniejszy od Łazarza.

Dnia 1. lipca, pokrzepiony na siłach ciała i duszy, napisał testament.

Dnia 1. sierpnia kazał trunnę robić i habit mniszy dla siebie, i posłał po woskowe świece do *Hrakowa*. Każdy dzień miesiąca tego był dla *Chebdy*, jakoby jednym gradusem, zbliżającym go do grobu, a lubo siły miał zdrowego człowieka, na twarzy bladość umarłego była, z dniem każdym większa i okropniejsza.

Dnia 31. sierpnia posłał po księdza, wyspowiadał się, świętości pańskie przyjął;

wieczorkiem, usiadłszy w ganku przed domem (bo zdrowym będąc zupełnie łoża nie załegał), płacząc żegnał się ze wszystkimi, żegnał czeladź dworską i gromadę, która licznie się na rozkaz pański zebrała. Pamiętał o każdym, każdemu na pamiątkę coś ofiarował, a był z poddanych który pokrzywdzony od niego dawniej, w dniu tym hojne wynagrodzenie odebrał. Po nocy przepędzonej na modlitwach i rozpamiętywaniach, skoro rozwidniać się zaczynało, *Chebda* rzucił się w objęcie *Jezierskiego*, który wśród łkania już i żadnych jemu reflexyj nie czynił. Późem odział się w habit, w oknie stojąc, a paciérze mówiąc wyglądał wschodu słońca. Słońce zeszło, *Chebda* przeżegnał się, paciorki w jedną, pasyjkę w drugą rękę wziął i powolnym krokiem wstąpił do przyległej izby, gdzie wedle woli jego, której nie śmiał się opierać *Jezierski*, leżała na środku trunna otwarta; świece na wysokich lichtarzach, dokoła poustawiane, nie paliły się jeszcze. *Chebda*, zbliżając się do trunny, raz jeszcze wznosił oczy ku niebu, pocałował pasyjkę, wszedł do trunny i w niej położył się w postawie umarłego.

Dzień cały leżał na podobieństwo trupa, tylko że przesuwiał paciorki różańca i paciérze odmawiał do zachodu słońca; słońce zapadło w ziemię. *Jezierski* przystąpił do leżącego, wziął go za rękę i westchnął: »*Requiem aeternam dona ei Domine!*« — bo przyjaciel jego już nie żył.

TALMA I REMBLE.

W jednym z dzienników francuzkich czytamy: *Talma* robił wielkie przygotowania do wystąpienia w roli arcykapłana w trajedyi *Atalia*. Paryż z przedstawu tej cuda sobie obiecywał. Wiadomość o tém przeleciała przez kanał do Londynu i w duszy pewnego człowieka wzniesła najmocniejsze życzenie być świadkiem tryumfu *Talmy*. Człowiekiem tym był *Remble*. Mało zostawało mu czasu. Dzień, w którym *Atalia* zdumionej publiczności teatru *françaís* przedstawiana być miała, tak był już blisko, że podróż do Paryża musiałaby się równać podróżą gońca. *Remble* pospiesza do *Dowery*; przebywa ciasną morską; podwójnie zapłacone konie pędzą z pierwszym mimikiem Anglii do stolicy francuzkiej. Przybywa, lecz jeszcze tylko godzina czasu do podniesienia kurtyny. Artysta nie traci ani chwili na przebranie się, nic nie je, ani odpoczywa;... to wszystko może mieć w Londynie,

ten jedyny cel mając przed oczyma, ażeby widział Talmę, prosto z powozu leci do kasy teatralnej. »Proszę dać mi łożę,« zawołał. — »Nie ma żadnej.« — »To jakie inne wygodne miejsce, ile można najbliżej sceny!« — »W całym teatrze nie ma ani pięćdziesiąt miejsca do sprzedania.« — »Dam luidora.« — »Choćby i tysiąc!« Zmieszany Anglik odstępował od kasy i nie długo się namyśla, bo upragniona chwila się zbliża; kupuje bilet na parter i wciska się w tłum publiczności. Już tam widzów jak nabił; tak zwani *chevaliers du lustre* składają czoło parteru, około nich kupią się partyje. Remble musiał przy drzwiach pozostać. Jako cudzoziemiec cóż on mógł tam zrozumieć? co widzieć z nieporównanej mimiki swojego wielkiego współzawodnika? Dręczy się, stoi jak na szpilkach i chciałby na inne przejść miejsce, ale dokąd? Nigdzie najmnijszego wolnego przystępu, i za ledwo przy drzwiach ustać może, tak ciągle obok stojący depcą go po nogach. Potrzeba mury przebija, zatem i etykietę przelamać jest wstanie. W łoży tuż przy samej scenie spostrzega dwie tylko osoby, mężczyznę i kobietę, w oczach jego o jakże szczęśliwą parę; tak blisko sceny i tak wygodnie. Łoża mogła pomieścić najmnij jęszcze cztery osoby, dla czegoż on, jeden tylko, nie miałby do niej być przyjętym? Nie namyślając się długo idzie do łoży, i każe wywołać jej właściciela — byłto Sosthènes de la Rochefoucauld. Przemawiając piękną francuzczyzną mieni się być cudzoziemcem, który umyślnie przybył z za morza, by podziwiać Talmę, a teraz dla braku miejsca zamiaru podróży swojej dopiąć nie jest w stanie. Grzeczność francuzka pokonywa nieprzyjemne wrażenie, sprawione przez zprószony w podróży ubiór gościa. Właściciel łoży prosi z sobą spragnionego widoku Talmy przybysza, chociaż ten nie wymienił swojego nazwiska, w kilku słowach rzecz całą opowiada swój żonie i Remble grzecznie przeprosiwszy damę, zajmuje próżne obok niej krzesło. Wystrojona Francuzka z pod oka ogląda na swojego sąsiada, a zrażona cokolwiek jego zaniedbaną toaletą, bliżej się do męża przysuwa. Remble ani widzi tego, ani myśli o tém: całą myśl jego zajmuje Talma, ma tylko oczy, by na niego patrzeć. Sztuka się zaczyna. Talma występuje, gra, wzbudza oklaski... w oczach Anglika jaśnieje promień radości; w rysach twarzy maluje się każde wzruszenie duszy. Między aktami daje na zapytania grzecznych posiadaczy łoży roztargnione, urywane odpowiedzi; — dusza jego napelniona porównaniami tragiki obu narodów. To, czego mu brakuje, zamysła sobie przyswoić, lubo w szlachetnym własnym przekonaniu przyznaje sobie, że ma także własności w grze, których mu sam Talma nie zaprzeczy. Lecz gdy arcykapłan w akcie czwar-

tym wyrzeka piorunującym głosem swoje nad Jeruzolimą prorocstwo, gdy Talma w wielkości bohatera stanął na szczycie swój sztuki, opromieniony łuną bożyszcza, zapomniał Anglik o wszelkich rozbiórach; cała istność jego splywa w jedno uczucie — w uczucie podziwienia. Widocznie rośnie z łoży; usta jego na pół otwarte, wzrok wyteżony; zapomina o swoich sąsiadach, o publiczności, o świecie. Nie jest w stanie słowa wymówić. Dopiero uniesienie widzów w końcu aktu wyrzyna go z marzeń zachwycenia, a gdy znowu cisza nastąpiła, lekkie westchnienie wypłynęło mu piersi; teraz dopiero głośno i z całą mocą swojego wprawionego organu, zawołał pośród tego anti-angielskiego zgromadzenia: »*Beautyfull, most beautyfull!* (Pięknie, bardzo pięknie!)« Śmiech powszechny i głośne sykanie było odpowiedzią na ten wykrzyk, a przestraszony czciciel gry Talmy ujrzał się przedmiotem pośmiewiska kilku tysięcy widzów. La Rochefoucauld i małżonka jego uważają się za skompromitowanych w najwyższym stopniu; ich łożę spotkało to, co mogło być najgorszego w świecie: *un ridicule!* La Rochefoucauld walczy z sobą, czy ma natrętnika zapomnieć, czy zapytać o przyczynę takiego zachowania się. Jego pani zaś tak dalece odsuwa się od tego bez wszelkiej przyzwoitości człowieka, że męża aż w sam kąt wciska. Na raz, jeden z Anglików poznaje z parteru sławnego swojego ziomka (*countryman*). »Remble jest tu!« te słowa z ust do ust przebiegają po całym teatrze. Gdzie? Gdzie? »Tam, w łoży Rochefoucauldów!« Śmieszny wyraz *beautyfull* zmienia się na raz w największy komplement, jaki mógł być tylko sztuce francuzkiej powiedziany. Całe zgromadzenie obraca się czołem ku Remblemu; długim, grzmiącym wita go oklaskiem. On go do siebie nie bierze. »*Vive Remble!*« wykrzykuje razem mnóstwo głosów. Teraz Remble już bynajmnij nie wątpi; podnosi się, kłania się na wszystkie strony, ze łzami w oczach i w milczeniu wskazując na scenę, jak gdyby chciał powiedzieć: Wszystka wasza miłość jemu przynależy! Nowe oklaski. Właściciel łoży przychodzi do siebie z odurzenia, raduje się poznawszy kogo ma przy swoim boku; żona jego, jakto mówią, odsuwa się od swego męża, a przysuwa do Remblego, jak tylko można najbliżej. W ostatnim akcie oklaski dzielą się po między Talmę i jego angielskiego współzawodnika i wśród hucznego zapału widzów kończy się sztuka. Remble zrywa się; radby zleciał na scenę; grzecznemu gospodarzowi dziękuje czule, ale krótko. Tak gospodarz jakoteż gospodyni proszą go by ich odwiedził. Przynależa wszystko czego tylko żądają, by się jak najprędzej oddalić. Chciano wiedzieć jego zdanie. Na dzień następny przyobiecuje całą rozprawę, byle mu ta

7

Lupilka Pana Anicuty.

Dnia 16. Maja roku 1669, i czasie nieszpornym, do kościoła
O. O. Bernardynów w Krakowie szedł sobie iakis w przetar-
tey kapocie staruszek. W kruchcie, stanawszy sięgnął do
kościelnych podwoji. — „Kościół zamknięty do diaska”, rzekł
do siebie, by raz niechybkitem godziny. Hej, słyszycie! z iakiej
skarżi niema dziś nieszpornów? — Mieszczanin, do którego
szpłit to zapytanie nagłony swoim interesem, i nie nie
odpowiedziawszy, pobiegł ku rynkowi. Nie lepiej drugi
usturzył, snaci grata go także iakias potrzeba na ry-
nek. „Co u diaska się dzieje?” — pisał do siebie starzec,
„wszystko tam bieży, czy nie gore? Święty Florianie modl
się za nami!” i niebawie, gdzie wszyscy pobiegli, powlokł się
i starzec. Przed kamienicą, którą Krzysztofory zowią, obaczył
z niematem zadziwieniem niezliczony tłum ludzi, różnego sta-
nu, różnego wieku i płci, nad tą tłuszcą głów wznosiły się
chorągwie kościelne i ornaty cechowe: do gwaru, iaki wznie-
cato prospolstwo mieszat się wrzaski trąby, i huk kotta,
a razem rozlegat się po miescie odgłos drwoni, bo na sędzi-
wym Wawelu obudzł się Zygmunt — ten król drwo-
now — i nakształt grzmotu przedzłego hukat nad
mąstem. „U diaska, co znaczy to zbiegowisko?” ta procepcja
nieprzymierzaję iak na Boże Ciało! na miłość Boga
powiedziecie co się święci? — „Alboz to wasza mość nie wie
wie o tem? — „Do diaska, nie odładajcie na potem,
ciekawym bardzo, co się dzieje?” Mieszczanin znużony py-

taniem wrzasnął na całe gardło: „król przyjechał do
Krakowa!” — „Co ja styszę!” o nieba! pan nasz
mitosciwy? swoją własną osobą? w Krakowie? Hej!
Hejto! to radość, wesele, procesje, illuminacje, do
diaska! w Zygmunta czemóż nie dzwonią? w Zygmun-
ta powinni uderzyć!” — „Staruszek ten dobrze
głuchy, kiedy i Zygmunta niestyszy. Te uwagi kie-
dy czyniono o staruszkach, już go niebyło, przecisnął
się przez tłum, i co się stało, spieszył na Ryba-
ki (Jest to przedmieście w Krakowie położone nad
wistą.) Niewiasta po rybaku wdowa miała tam
swoją domek, stawiały ieszcz za owych dobrych
czasów, za króla Zygmunta, znamię swojej sta-
rosi nosił na sobie, i zmarszczony i schylony
ku ziemi, podobnie jak jego właścicielka pani
Witiska. W alkierzu tego domu, w ciemnym
zakątku stało łóżko, karabele szlachecka przyściem,
praszynka z gromnicą, zawieszona nad niem, obok
kuferek i stół kobierczykiem nakryty. Była to
stancja pana Anuty, niegdys profesjonata, dziś
spodupadłego, i jak to mówią, siedzącego na bru-
ku szlachcica.

Pani Witiska siedziała na ławie przy kądzieli,
młode chłopie drzymato za piecem, kiedy z trza-
skiem drzwi się otwały, i zadyszany wpadł do
izby szlachcica. „Pani Witiska!” zawołał „wielka
radość i wesele!” Pani Witiska siedzi sobie, i nie
nie wie, a tam w mieście procesje, chorągwie,

historje! arem się zmachat, tak biegtem, czas Drogi. Jas
czy jest? — Synek pani Witeckiej zerwał się na za-
wołanie, i stanął zaspany przed panem Ancutą. — „Ja-
sin zbierz się! biegaj co żywo! sprowadź mi balwierza!
poczekaj! po drodze weź te cholewki, wstąpisz do
Szymka, do mojego szewca — poczekaj! po drodze
do kramu mi wstąpisz, arkusz papieru, i hambur-
skie pióro. Na masz!” — Wybiegł Jas, pani Witecka
nie wiedziata dokąd, co się stało. Pan Ancuta nie nie,
mówił tylko przechadzał się po ulicy bosymi noga-
mi, ale twarz miał wesotą, iak storice, oko się iskry-
ło radością, zacierał ręce, poprawiał paszka, czapkę
przewiesił na ucho i pełen dobrej fantazji podpant-
szy sobie botki, pogwizdował — „Post nubila Phoebus!”
— rzekł, a stanąwszy na przeciw pani Wite-
ckiej: „Do diaska, Aspani nie rozumiesz po taci-
nie, azatem po staremu będę miał rzecz.” — A na
sam przód proszę mi powiedzieć, co będzie dziś
na wieczorek? Z resztą, to mnieysza, ale jutro, to
proszę mi wystąpić z obiadem. Pani Witecka pe-
wna ze szlachcicowi pomieszato się w głowie, zakry-
żowała ręce wotając: „Matko wielkiego miłosierdzia!”
„Co ia styszę u diaska!” rzekł z wykrzyknieniem
Ancuta: „Aspani bąknetaś coś o miłosierdziu, mito-
sierdzia nie potrzebuje, wyptacę się co do grosza, i
z procentem, iak się patrzy. Bardzo proszę, mógł-
bym się pogniwać, a niedawno temu bytem u
spowiedzi. Ale nie, na Panię Witecką gniewać się

nie mam serca, i owszem wdzięcznym być umiem,
i oto drżąc na tem miejscu protestuję się przed
panem Bogiem, iż iak skoro to się stanie, co my-
śle: Jani, nikomu innemu, tylko Waszpani oddam
klucze do larnusa, szpichlerz cały, spizarnia ca-
ła, folwark cały do wiernych rąk oddam, a Jas
będzie u mnie za pisarza, wykieruję go na catorwie-
ka." — Jani Witeska zaczęła się cofać od rozpra-
wiającego temi słowy szlachcica: jej domyślił, że
postradał rozum, przechodzący w przekonanie. —
"Do diaska, czego się Waszpani odsuwasz odemnie?
nie szardziatem — Boże broń! owszem wdzięcz-
nym być umiem, pokazę to i dowodę mową
i uczynkiem." — "Wam się coś w głowie mięsza, Janie
Ancuto!" — rzekła zakłopotana kobieta. — "Co mięsza?"
"ia to panu Myszkowskiemu pomieśzłam szyki; dzię-
kować Bogu, będę i ia miał plecy za sobą, spróbuj-
my się panie z Mirowa Myszkowski. Ha! myszka
ładaco, zgryzła moją fortunę, ale iey nie strawi, nie.
Do diaska! zegiżto Jani Witeska wytrzeszczyła oczy
patrzyjż na mnie iak na saroga? Przeciez mówi:
tem iwi podobno, że to Jan Myszkowski ubrał
mnie w takie Tachmanki, wyrut z wioski, zniszczył,
stygat. — Trwawo zarobionym groszem kupitem
wioskę, kaci tam wiedzieli, że Jan z Mirowa tra-
ktował o to kupno. Dosyć zern kupit, wyptacit
do szeloga. Coż tedy robi Myszkowski? zaprzy-
wa mnie, czyni protestacje, wyderkaży historje —

9

nie czeka końca, najedzia i wypęda ^{z domu i} z wioski, do której
dotąd trafić niemożę. Daremniem jeździł, prosił, szapko-
wał, i płacił. Wreszcie nie stalo iwi zdrowia i mieszka:
człek osiadł na bruku. A gdyby nie Waspani, nie nie-
miałbym na głodny żab wtorzyć. Ale do Diaska, inna
facies rei, wkrótce się to potkasz - król nasz pan mi-
Tosciwy już tu iest, w Krakowie, dziś przyjechał. Nieo-
puszczę tej fortunney szarży, do króla, do samego króla
poniosę moją zatóbę, moję krzywdę, sprawiedliwosci domna-
gac się będę, inaczej pójdzie sprawa moja, reassumuię
ię de novo, i obaczemy dopiero quis melior? - Gja-
ka sakoda zapomniatem, po drodze mógł być Jas' wsta-
puc' do Winiasza, i przywieść butel wina, a wypili-
byśmy zdrowie najjasniejszego Pana, i to duszkiem.
Niech żyje! Vivat! niechno pani Witewska nieodsu-
wa się odemnie, czym straszny taki? czy co? wsza-
kie nie - tyłtkom sobie wesół, i takbym skakat a
sciskat co dopadnę! - Swattu! ratujcie! zawrzasta
staruska, cofając się ku oknu - "No -! no! xrefle-
ktowany przemówił ciszej nieco szlachcie", siadaj no
Waspani, Stuchaj no Waspani, opowiem wszystko, opo-
wiem zdarzenie, na którym gruntuje i buduje moje
nadzieje:

Będzie temu bez mata lat 20, kiedyśm Dzierzawami ceszcie
chodził, trzymata się wioska Salkowie nad Skawą, od
pana Towrego koronnego, dobry był to Pan, pan Mor-
słyn, niech mu Bóg da królestwo niebieskie. - Jednego
razu, stuchajcie pani, ia na koniku sobie, a miatem

walną szkapę, obierzącym sobie pola - Dochodzimy to do sa-
mej Skawy - patrzę, kto jedzie drogą, a droga prowa-
dzi na Zator do Salazka. Techato ich dajeszciu, okrom
dwóch starych sama młodzież, ale wcale porządnie
ubrana, wcale dostatnie. Wtey kalwatriacie brat praodek
jakis walny kawaler w kontusiku niebieskim, podki-
tą w sutuce szamentowej przy czapce, koni danielny
na którym waga (niech mie Big skarze) prawdziwie
królewski. Słuchajcie Waszpani, owoz Panowie dojechali
do rzeki, patrzę, ono paniątko na czele zamierza pu-
sac' się wptaw. Tak nie krzyknę: „Stojcie!” - wsta-
chali mnie i stanęli. - Panowie! rzekę, proszę o głos-
nie wawicie się puszczać wptaw przez rzekę Skawę;
„ktoro Waszności za jeden?” - zapytał iadący na
przodzie: „A Waszności iak piszą?” - on na to:
„Testem Jan Kazimierz, królewicz polski, i Szwedzki.”
odpowiedział. A tom się wybrał do sto Diasków! -
ale to nie ztego, pomysłatem, oddata się czotobitność
Tego królewskiego Mosci, iak się patrzy - alie teraz
sprzytatrzywszy mu się zbliska - widziatem to
na zdrowe oko, ze to iscie królewskie oblicze, i posta-
wa prawdziwie paniskie. Tak piszą, Waszność Pana?
królewicz do mnie - Opowiedziawszy się po imieniu
i przerwiszku, rzekę: „Mitosciwy Panie! dzisiay na
rzecz niema brodu, zpryyczynny ze w górach zbity wiel-
kie Deszere! - Skawa weszbrata bardzo.” Królewicz na
to rzekę: „Kto się w podroz morską wybiera, winien
się oswoic' z woda; - Waszności za jego przestrożę dzie-

10

kuć, chociaż z niej niekorzystam." - Na to ja Mosci - Dziętku -
chodźto tu o życie królewicza - nie wiele myśląc - iak
dam ostrogę moiej szkapie, zabiegłem drogę, i kraj-
ktem na całe gardło: "Niepowołam!" - Zdziwił
się królewicz, oburzyła obecnych taka konfidencyja,
ia Mosci - Dziętku niestracitem ducha, zabieram głos,
i rzekę: "Miłosciwy Panie! Stwiba, i czołem sciele się do
stop Mitosciwego Pana - ale protestuję przeciwko temu -
bo rzekę: primo: Mitosciwy Pan naraził się na pewną
zgubę - pro secundo - zem gotów odbyć poprzednią
próbę, i pokaze dopiero zem daremnie nie straszyl -
Boże uchwaj. To rzekłszy iak niedam ostrogi -
szkapa dęba, a potem - w wodę; oj strach był zemno,
była iak dusza na ramieniu. Dobitem się do brzegu
ledwie żywy, ale koń poszedł - do Selariska. Tu
dopiero przekonał się królewicz, że to niezarty,
i zamiechał iardy - spotkał mnie honor, królewicz
Tegomość gościł sobie w moim damie, przez całą do-
bę, i był całę kontent z przyjęcia. - Nazajutrz
woda znacarnie opadła, wyprowadzono konie - kró-
wicz uprzęjnie dziękował, w końcu zagadał tym sen-
sem: "Jestem nader szczęśliwy z poznania Waszności
Pana. Tęgo przystęge mnie wyswiadczonej, w farnię-
ci chować będę - i proszę - uprzęjnie proszę - do-
pomóż mi, abym mógł iakim sposobem wyptacie
się zdługu wdzięczności za gosurność - a więcej
ieszcze za to narazenie się na niebezpieczeństwo."
Ja na to odrzekłem: "Jiż długi Bogu mam
chleba dostatek - a com zrobił, rzekę, to nie dla

nad grody iakiej!" rzekł. "Boże uchwaj!" - Króliewicz
nieprzestął na tem, i nastawał na mnie: "Z resatą,"
rzekł, zostając dwornikiem Naszności, może kiedy zda-
my się okazywać wyptacie z dżugu, tymczasem, rzekł,
co stusana, za straconego konia proszę, przyciąć inne-
go." G. Mosci - Dziejku, co to był za koń, niejaki ~~xxx~~
Trepka ~~xxxx~~ ze Smolic 300 bitych kłód mi na stół,
i tak mi Bóg miły, i matka najświętsza! Wiele ro-
ków upłynęło od tego czasu, Króliewicz został królem,
z miejsca na miejsce gnata mię bieda, za tym pro-
cessem wotczyłem się po trybunatach, a kiedy do-
bram sprawiedliwości dokotatać się nie mogłem, ju-
żem się wybierat do króla, ale nieszczęsną chorobą
poważną mnie o tóżko, dwa lata przeleżałem, nie
wiedząc o świecie, a potem i wici i niebyło o
czem. Ale teraz do sto diasków, dajbym się narwać
niewiedzieć czem, gdybym tej okazyi omieszkat."
Niekto Jas powróci - o tóż i on - Jużes to chto-
pore - przętkos' mi się zwinat - dostaniesz na
ciabtko - teraz biorę się do suplitki do króla. Da-
wno się pisato, reka trochę złwardniata - ale
iaktos' to pójdzie - tytko Pani Witeska, żeby mnie
tu niest nieprzeszkadzał - bardzo proszę."

Narajutrze - dziesiąta bje na wiecy zamkowej, pan
An cuta dotąd nie wraca - W domu pani Wite-
skiej niewyobrażne dzieją się rzeczy, - iendor się pie-
cze na rożnie - iur i podlewa do niego smary się
w ryncie, iurba petra zapachów cebuli, szafranu i

imbieru. Pani Witeska iakas' nad miarę wesota, i gdzie sta-
nie, gdzie usiedzie - zaraz się zaduma, i myśli, tak
iak ten, co myśli ztoto robic. Niekiedy rzuci oczyma ku
oknu, snac' wyglada, a niecierpliwie powrotu Pana
Anuty.

Nagle się zerwie, i bierzy ku Drzwiom - zastkrzyziata za-
wiasa - pan Anuta wstapit do izby - w kontuszu
Pod wielkiego swięta, w czapce, i przy karabeli, ale czap-
ka nie na lewem uchu, rekaw u kontusza niezarrucony
w tyt, i karabela - co się stalo - ani brzękta na progu.
"Bywajcie, bywajcie, co tam stychac' ? mówciez na
rany Boga, mówciez ! bylisie u króla. ? - " Tako żywo
statem przed królem, nieprzymierzając, iak przed
panią Witeską, o to " - " Rany Boga przynaj-
świętsze ! " - I niechwałac się król Jegornosć przy-
iąt suplikę do wotanych rak - i bytoby wszystko
dobrze - tytko że do diaska ! jakem się dowiedziat -
zaszta jedna okolicznosć - oto spóźnitem się tro-
szeczka, a król. Pan tymczasem - abdykował -
to jest mówiąc po staremu : ztorzył koronę -
"lo ia styszę ! " zawotata stuchająca, zotarniując ręce.
Nie darmo mówią : spes alit - sed fallit. Stan się
wola twoja Panie ! co gorsza, dodat szlachcie
zwracając się do swojej gospodyni : tak to gorsza
że tu ryc' trzeba doputki się Panu Bogu będzie
podobato, a Bóg świadkiem mieszek w suchotach -
ale do diaska - zapomniałem król pan Tashaw
i moicy wystugi parniętny - proszę się przypatryci-

i zesunął z paka sygnet diamentkami obłożony:
„Dostatem w upomunku ten pierścień, przayda się
dla starca - na pogrzeb.” *

*) S. p. Hr. Józef Kuropatnicki posiadał w swoim księgo-
zbiornie we Lwowie rękopism z dwóchset przeszło kart
in folio złożony. Byłto dziennik Jana Martkiewicza, ku-
peca krakowskiego, zaczyna się w r. 1642, kończy 1689.
Mały wyciątek, tyżący się przyjazdu Króla Jana Ka-
miera do Krakowa, tutaj czytnie, więcej o tem rękopi-
smie znajdziemy w pamiętniku Lwowskim r. 1816 wy-
danym.

R. 1669 die 15 Maii, tegoż dnia Król J.M.C. Jan Ka-
mierz iadący do Francji - stanął w ogrodzie Per-
nusowskim, a narazjutr wjechał do miasta; para trę-
baciów przed nim trąbiła. J.M.C. Pan Comendant Krak.
sprzął niem, a za nim cerciter 100 Praytarji. Stanął
pod Krystofory.

Die 17 Maii witato go miasto, albo raczej imieniem miasta
J.M.C. Panowie Radey i P. P. Prayszanice dawrzy mu
w podarunku łagę wina wloskiego, i misę cytryn świe-
żych, i pomarancz. Po przemowie, którą miał Królki
J.M.Pan Frynscher R.K. szliśmy do pocatowania
ręki Króla J.M.C.

Prayp. aut.

119

Legenda klickniczy.

W drewnianym dworaku z którego wesoty był widok - z jednej strony na folwark wylepiony zółta glina, z dachem Tomnainym, na którym wsparta drabina spoczywała wyciągająca suche swe ramiona do komina, z drugiej - na spichlerz z ganezkiem, na stodole - otóż w tym dworaku mieszkał Pan Chorąży dźiedzić wioski.

Do tego stawienstwo Boże spoczywało nad jego domem, rosły soko pomysłnie się wiodło, przehoweli się mnożył, szkatuła co raz to cięższa. Mówiono o Chorążym że miał w kieszeni wężyka, który syzał i ostraszal rękę, ile razy sięgnęta po złołowiek. Przecier był ludzkim i gościnnym w całym owoczesnym znaczeniu tego słowa, radki był wypadek, ażeby trzeźwi od niego odjeżdżali goście, a nie kiedy - i bez zapiek. —

Miał żonkę młodą, Anielę chowała się u babki, której była pieszczotka, i nie było szybki w oknie, żeby wnuczka jej nie miała byle się naparta. Zostawszy Panią Chorążyną, zdarnato się często, iż skromne jej ządania rozbijaty się jakoby o twardą skałę, o upór oszczędnego meza. Sąsiadki na przekore pokazywały nieszczerę sliwę tej istocie co raz to nowe kornety, mantele, chusty. Anielę dodrętała tylko sliwną swoją wyprawę. Leż nigdy tak wielkiego nie doznała frasunku, jak won czas, kiedy się dowiedziata, że jedną z jej sąsiadek, czuty mąż zwiżat na urodziny sznurkiem peret wryańskich przez sliwnę wody. Zatoż się dotknęta, zapłakata ze smutku i rozdrości, Sługliwsza bowiem sąsiadka, była tylko żoną

zimą drierawcy, ona drierawca, Morale musiała nosić na szyi. Zale i ptawce nie przemożły Chorążego, skarcit konę, że jej się zachciwa takich zbytków w czasach tych ciężkich. Zena rucita serkiem na ciężką szkatułkę, i westchnęła. Ale dnia tego długo zasnąć nie mogła, różne do późna noy robiąc projekta. W krótce potem pmyrszedł postanice z listem od babki Anieling, w którym staruszka wzywata wnuczkę aby zjechała do niej na święta. Chorąży uradowany tem nie mało, chodrit po i zbie i zacierat ręce, wiedząc o tem, że babka kochana stosownie do zwyczaju swojego, odsytając do domu wnuczkę, obdarzy ją zwawa sumką jaką na szpilki.

Odjechała Chorążyna: ani mitokos czeka na przybycie kochanki zwiększą tęsknotę, jak Chorąży tę rara, wyglądał powrotu żony.

Po upływie kilku tygodni przyszła nareszcie wiadomość, że wraca.

Chorąży wychodrit na przeciwko matronki kilkakrotnie. Jednego wieczora nareszcie wyszedłszy na wzgórze, dojrzał wznoszącą się kurnawę na gościniec, porwał siwe konie, i kowryk. „Wraca, wraca” zawołał, i zbiegłszy na drogę, czekał. Nadjechała zena.

„Stój” krzyknął Chorąży, zatrzymała się kolaso, wysiadła zena, smutna jakas i zapłakana rucita się w objęcia matronka, który zadziwiony tym smutkiem, zapytał: „co się stało moje serce? powiedz.”

„Nie gniewaj się na mnie, jam niewinna... odpowiedziała zapytoniona. Dobyła chustki z woreczka, zakryła sobie oczy płaczące.

„Ale coż się stało? powiedz” powtórzył Chorąży.

„||| Skradli mnie, skradli, zabrali wszystko, ||| przemówiła zena. Daremne byłoby staranie moje, opisać scenę, jaka nastąpiła =

nastąpiła po tem wyznaniu Chorążyny, - iż na noclegu w Karcermie
skradziono jej sakiewkę z dukatami, o której była wzmianka w li-
ście babki do Chorążyny pisanym.

Chorąży przyszedłszy do siebie, nie rasnął chwili, wystąpił, i sam
nareszcie polewał na miejsce popełnionej kradzieży. Padano,
szukano, ale bez skutku.

Miejsze usiłował, jeszcze Chorąży żalu swego strawić nie mógł, i nie
było jednej w dniu godziny, ażeby nie wyrzucił Amieli jej pto-
chości i nieuwagi, powtarzając swoje: "a mówięm, miej się na o-
strożności, Ato cz: 21: nie piechotą chodzą, stracić tak lekkomyśl-
nie." Czas, najlepszy na troski lekarz, przyniósł niejako w tym Gra-
sunku ulgę. Chorąży zapominając się, zdawał o dornanej szkodzie.

Zdążyło się pod tę porę, iż Chorąży o zaożalenie Kopca gramolnego
sąsiadowi, porwany do sądu, wyjechał do miasta, dzień to był
czwartkowy, dzień procesu.

Sprawa acz wątpliwa, zrewną wymową Chorążego, tak pomysłny
wzięta obrot, iż upadła; owszem powódca na Kosata procesie
skarany został.

In gratiam tak pomysłnego, jprawy zakorowienia, Chorąży zapro-
sił Pana Sekretarza, i kilku dobrych znajomych do Samula na
lampkę.

Było to jakos z jesieni; pora dydyjsta. Zydek wynosił butelkę
po butelce, próżne odnosił. Tuż dobrze się zmierechło. Pan Sekre-
tan nie regnął fundatora, a temu jak traktującemu, nie wypra-
dano brać za mapkę pieroszemu. Ciągnęła się pogadanka o e-
migrantach francuzkich, którzy w przejeździe do Rosyji, no-
clegiem staręli byli u Sefflera.

Ciągnęła się rozmowa, i rozciągnęła w debaty nad Europą, Ame-
ryką i Azją. Zadzwonili na ratuszu na dobranoc, a Chorąży
kieliszkiem o kieliszek Sekretarza drwoniąc, zawołał:

"Kochajmy się" ostatniem tem zdrowiem przywołony, padł
na ławę Chorąży, do rana na niej doleżał, Sekretarza odpro-
wadzono do Stancyi.

Narajutro

Naraz jutro o poranku wracał Chorzycy do domu. Strzeżąc się go-
 ścinica ku dworowi wedle Karzymy, zyd gospodnik, uchylając
 czapki, do bryutki przybierał i zawołał: „Niekho Wielmożny
 pan jedzie do dworu, a przedko, dobre rzeczy tam Stychać.”

„Coż to za dobre rzeczy?”

„Niekho Wielmożny Pan jedzie, sami na własne oko obaczy ten
 prezent, te perły.”

„Saki prezent? jakie perły?” zapytał Chorzycy zdziwiony.
 Jecz woźnica śmignął białem, a cwałówka w chyżym biegu porz-
 wała bryutkę, przecięta dyskurs pana z zydem Karzymarzem.
 Po drodze rozmyślał Chorzycy, co by to znaczyły te perły, ten
 prezent, a wołał na woźnicę, by pospieszał.

Ledwie co wjechał na podwórze, obskoczyła go czeladź wszy-
 stka przebiegając coś o prezencie, o perłach. Z wrażeń tego
 i poplątaną gadaniną rozumnego nie mógł wyciągnąć słowa
 Chorzycy. Szedł więc do izby i zastał Aniele, przed zwiercia-
 dłem stojącą; w ręku sznur perel miała, raz do szyi to znów
 do wota przykładając je i przywierając, patrzyła w zwierciadło,
 i uśmiechała się wesolo jak dziecko, a postregłszy wchodzą-
 cego, biegła do męża pokazując mu perły.

Zdziwiony Chorzycy oku nie wierzył własnemu, wziął je do rę-
 ki, liczył jedną perłę po drugiej i przesunął po sznurku. Na-
 reszcie zapytał z kąś je dostała, od kogo? i ktoż ten wielko-
 myślny, szlachetny dobrodziej?

„Usiądź mój mżulku” rekła żona: opowiem ci wszystko, ale
 uprzedzam, żebyś mi wierzył co mówić będę, bom sama na
 własne widziata oczy; Kluwnica nie widziata, ale stysza-
 ta; sama mówi że styszała.

„Niesnacciej, wpadła wesolo przytomna Kluwnica; styszałam
 na własne uszy. Styszałam szelest i wrawę jakiejś w nocy,
 jakby kto kuferek przesunął po podłodze.” ~~Dobrze jai~~

~~Dobrze~~
 „Dobrze

„Dobrze, już dobrze,“ przerwał Chorąży. „wienę już, wienę, tylko mów-
cie, co się stało.“

„Otoż to się stało“ zawęzła mówić żona:

„Takos to było po północy, zegar wybił trzy kwadransy na pięno-
szę, ocknęłam się, niebo się wy pogodziło; i miesiąc świecił jasno.“

„Ależ jako żywo! teraz księżyc na nowiu“

„A to gwiazdy może tak jasno świecily: same nadzwyczaj-
ności drzotały się tej nocy. Wiern mi męzulku.“

„Nie inaczey, i ja z drugiej strony widziałam, że jasno było w sypial-
ni“ przemówiła Kluwnica.

„Otoż ocknęłam się, mówiła dalej żona, i niespatam, zegar wy-
bił pierwszą. Postyszałam szelest jakiś pod łóżem mojem. Prestra-
szyłam się, bo niewiedziałam co by to znaczyło, i myślałam zeto...“

„No! co tam, mniejsza, coś myślała, przerwał męż, powiedz, co
to było?“

„Otoż, kiedy myślałam, że to mysz może się stwore, a to nie mysz,
ale ustowiek jakiś małyutki, jak ci Liliputowie, co to niedawno czyz-
talam ci z książki, którą mi kanonik pożyczyl. Taki sam ma-
leńki Liliputek wyjechał na koniu, z pod łóżka mego“

„Coż to pleciesz za baję“ przerwał męż.

„Ale mój męzulku Kochany, Słuchaj jeno dalej“ rzekła żona.

„Nie inaczey, niech Jegomość Słucha, co dalej będzie“ rzekła
znowu Kluwnica.

„Otoż, na czemże stanęłam: wyjechał Liliputek na koniku ma-
łym, wyjechał na sam środek pokoju, zdjął kapelusze z piórkami,
pokłonił mi się pięknie, i przemówił.“

„Prawisz daby, moje serce“ rzekł męż.

„Słuchajże dalej“ rzekła żona.

„Nie inaczey, niechno Jegomość Słucha“ rzekła Kluwnica.

I Chorąży Słuchał dalej, nieprzerwywając już opowiadania żo-
ny, które w skróconej umieszczałam tu treści: Ostowiek
małyutki wyjechałszy na środek pokoju, zdjął kapelusze,

uzgiął

uizgnit poklon i zapytat się Pani Chorążyny, ażeby nie dozwoliła państwu młodym odprawić wesela w jej pokoju?

Przestraszona wraku Chorążyna takim nadzwyczajnym zjawiskiem, ozorem własnym niewierząc, wzięta to wszystko za senne jakieś widzenie; ale słowa te dobitnie i wyraźnie wspomniane, przekonały ją dostatecznie, że to wszystko na jawie było.

Zakłopotana niewiedziata wama, jaką dać odpowiedź, bez wiedzy i woli, ledwie to słowko dobrze wymówiła, już ci zaszeleściato znouu pod Tożem, i rarem czterech karétek matych, każda o pięć koniach, wysunęły się z pod kobierca, który spazdajze ku ziemi, ostaniał i otwierał, co się drżało pod Tożkiem. Za karętami bryzeki kilka, nareszcie wózek z kapelą, i kilku kawalerów konno. Cała ta kalwakata była drobna, malenka, — jednej miary z tym pierwszym Jegomością, przedem wystanym. — Karétki i bryzki nastosowane do tych ustawień, były, domyśli się każdy — kiedy jak wspomniatem, czterech karétek i bryzek kilka, pod Tożkiem Chorążyny wygodnie pomieścić się mogły, a wysunęwszy się z pod Toża, po izbie jakby po obszernym Pirakowstwie objeżdżali rynku. Nie odbyło się to bez wrzawy: turkociki karétek, trzaski bryzeków woznic, tentenciki koników galopujących, obit się o ucho Chorążyny wrak z muzyką kapeli, wygrzywającej dziaarskiego marsza.

Muzyka ta była cicha, podobna do głosu porzytywki w zegarku zamkniętej. — Kapeli nie słyszata klucznica w drugiej spojrującej izbie, czego ratowała najwięcej, i na pół spiętej zdało się, że ktoś kuferek po podłodze przesuwat. Zatrzymały się karétki i bryzki; wszystko z nich powysiadato.

Ta widziata Chorążyna najprzed państwa młodych, słernie ubranych, nieco z staroswiecka. Tacyś sędziwi panowie i panie, druzbowie i innych gości mnogo.

Stangli w wianek, kapela uwręta manura i wysunęta się pierwsza para do tańca, po niej druga, trzecia, czwarta; taniec

Szedł

7 17

szedł żywo i weselo. Sama Chorążyna patrząc na tańczących, ochota brata do tańca.

Po marurku pusiuta się wiarka obertasa, potem drabant, naweszcie Wrakowiaka: w pierwszej parze hasał pami młody z panną młoda, obleciawszy kłoto po rary kilka w skokach kwawych, przyskoczył do Tozia, za ~~niami~~ nimi dżugim sznurem ciągnęły się jary. Skoro przed Tozem Chorążyna stanęła, skłoniła głowkami i dwoje małych dzwigając na piętykach jakies pudetko, złożyli je na ziemi przy Tozku, a starosta dręcząc gospodyni za gościnność, prosił by prezent ten przyjęła raczyła jako wdzięczności podarek.

Kapela uderzyła znów Marsza, wucito się wszystko do karęt i bryzek; bixytki woznic pukac raczyły i wszystkie utęry Karęty i bryzki wjechały pomiedzy drowiane stępki, na których kławy piec spoczywał; turkot i kapeli odgłos coraz był mniej głośny i wkrótce nastąpiła cisza, i ixba była proźna.

Chorążyna nie rykła przysła do siebie, — ochtonzwszy nieco z podziwn i obawy, uniesiona ciekawością, co by się zawierato w pudetku, podniosła je, otworzyła, w pudetku były perły. Radością przejęta nie mogła dorekac ~~tego~~ ranka, skoczyła z poscieli; wbiegła do Kłucznicy pokazała perły, i całe ożwiodziata z daważenie. Kłucznicza na obie zerwała się nogi i tysiąc pytań zadawała pani, i ziatowała nieamiernie, że ~~nie~~ nie była na weselu przygotowana.

Rozbawily wszystkie dziewki i czeladź: wprytko się zbiegło do szpialni pani i jeśli zagłodać pod Tozko, pod piec i kijami stukac pod piecem; darennie, nie już nie było. Chorążyna niecierpliwie czekała powrotu męża, ciesząc się darowanemi perłami.

Skoczyła mówić Chorążyna. Chorąży się zadumał, głowę kiwał, naweszcie przemówił:

„Ożecz dziwna, niestykana! e tyssałam o duchach i upiorkach, ale o takich małych upiorkach niestykaniem dotąd; prawda że w księżkach piszą, o jakichś tam Lilijutach: trudno tu niewionyc, kiedy perły które przecie dobre widzę i wuje w garści, to dowodzę.”

To

To niektórzy, pomyśleli do sypialni, zajrzał pod Tożko, patrzył po podłodze, to schyliwszy się pod piec zaglądał, łaską szukając i grzebiąc pod piecem. Zdarzenie to nadzwyczajne, Błyszlawicy chyżo się roznieśli się po okolicy.

Chorzy nigdy tyle w swym domu nie miał gości, ile tygodnia następnego, po tej nadzwyczajnej nocy. Mężczyźni i kobiety, stare i dzieci, jak do świętego miejsca, zbiegali się tłumnie w dom Chorzy. A każdy z gości ledwie przebył próg domu, pędził do sypialni, i patrzył po podłodze, pod Tożko i pod piec zaglądał. Niektórzy ślad jakiś dostrzegali jeszcze, a Stupek jeden od pieca przystąpił był nieco, z tąd wnoszono, iż Karéta w szybkiej jeździe osiá zawadziła o niego, dodał ktoś: „dobrze że pieca nie rozwaliła ta uroda. — Nie dosyć na tem, oglądano przeciwną w przysionku ścianę, w uleście pieca wstępowali ciekawsi, rozbijając się w domysłach, którędy te Karety wyjechać mogły: Chorzy acz gościnnego serca, nudzić się zaczęła tę zgrają gości. Chwili nie miał spokojnej. Do tego piwonica przez tydzień cały prawie się nie zamknęła, perły cetera bezki, a ogień kuchenny niby ogień Zmruza, od rana do wieczora gonał nieustannie. Niewiedziat już rady; a dnia jednego obrachowawszy się z Szwarznią i piwonica, wyciągnął z tej rachuby wnioszek, że te perły darowane optacit już nawet nad cenę, szkoda, jaką poniósł traktamentem nieustającym. Tej pielgrzymce do pieca chęć potężni koniec, wyjechał z domu.

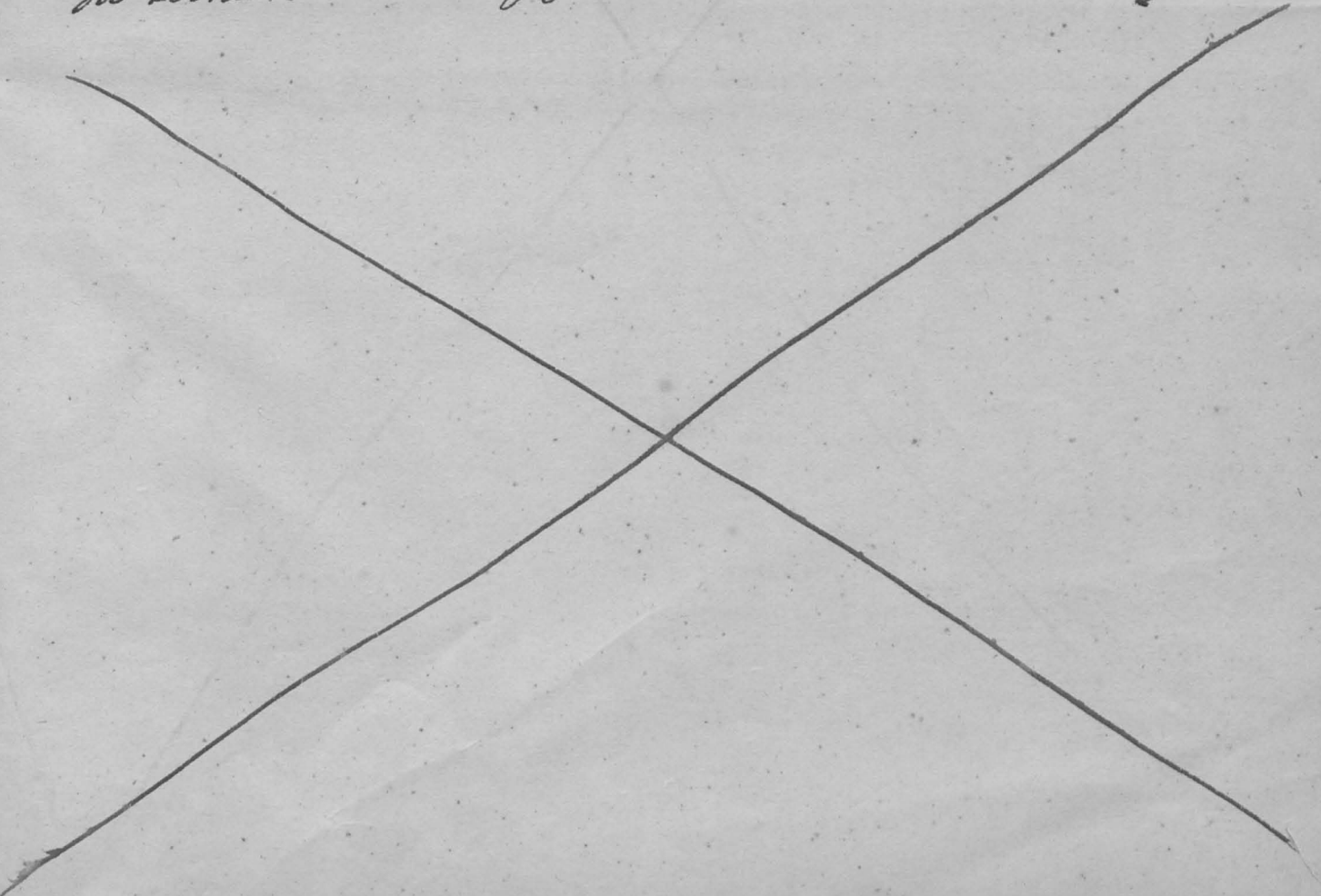
Oddalenie się Pana było hasłem gromadzie wioski i okolicznych, do poznania z bliska Stawnego tego pieca i Tożko. Znowu Kluwanica chętnie i izbę Stawną i piec i Tożko pokazywała wszystkim razem i z osobna, lecz przebrata się miała jej ciepłowości.

A gdy ciekawe mesze nie przedstawiały tej pielgrzymki do pieca, zmuszoną się być widziata werwać ekonomia pomocy, i dwóch

pachotłwo

pachotkówo z kijami staci musiato od rana do wieczora w sieni, od
 przodajce ciekawych. Bytem w tym dworku, widzialem izbę sy-
 gniałna, Tóiko i piec. Teba zwyrajna Kwadratowa, ósm Krokwó
 stuga i tylei szeroka, ma dwa okna wychodzące do ogrodu, mię-
 dzy oknami jest kanała cycem w paszki powleczona, przed nią
 stoliznek okrągły na trzech nóżkach, przy ścianie od prawego
 okna stoi Tóiko. Pawilon czerwony, nieco spłowiały spada
 na nie z wysoka, i pokrywa.

Piec questionis spojony z kafla białych w niebieskie arabeski.
 Dajce świadectwo prawdzie, i to mi dodac wypada, iż jeden
 z tych drewnianych Stupków, na których oparty stoi piec,
 zwichnięty jest na lewą stronę. Stwierną zatem była ta uwa-
 ga, iż pędząca ~~z~~ karètka zawadzita o niego. Ten ślad tyl-
 ko zostawili ci malency goście w dworku Pana Chorążego.



19

Chelm Taxy *)

powiastka stara.

Dunajec to dzikie karpato, Dziecie - obiegłszy
Doline Nowo-targką - wypływa na krawędź
naszego kraju i spojone dawniej - rozgradza
ziemie Sandecką i Spiską. - Okolice które oży-
wia kaskad swoich szumem - są, pełne malownic-
zej, piękności. - Ktoregóż z podróżnych nie ude-
rzył - nie zachwycił widok tych bratnich zam-
ków Czorsztyna i Niedzicy? - Ktoregóż z go-
ści Czerwonego Klasztoru podniosłszy oko na
koronę tysiąc stóp, wysokości pionowo się, wzno-
szając Pioninskiej góry, słowami podziwienia
i zachwytu nie oddał holdu - krasie i wiel-
kości - natury? Od Pionin jakby od czoła
tego gór olbrzymia - rozchodzą się, olbrzymie
tegóż ramiona. Kręte tych gór pasmo dziwnie
się gmatwa i wije - tu przzerwane nagle roz-
dziawia się w przepaść - tam wyskakuje w obto-
ki w kształcie - cukrowej głowy. - Patrząc z wy-
sokości Pionin na całą, tej dzikiej okolicy mapę

Zdawa się tobie, że widzisz ziemię w tańcach, krę-
gach i skokach. — Dunajec nie wstrzymany
tym wirum gór i skał, przeskakuje, które w swym
biegu napotyka przechody — i niby gniewny —
bo szumiący i spieniony ucieka z tej pułkawy
spieszy się w kraje dolin i wiosek. — U mia-
sta Łacza szeroko — się rozlewa — swobodniej
płynie — a u stron obydwoch rozstępują się góry
aby dzikie to karpatońskie dzieci ugłaskaniem
i spokojnym licem zbliżało się do poważnego
majestatu — królowej — Wisły.

Rozmaitości

Dnia 22. kwietnia

Nr 16.

1857 Roku

HELM JAXY.*)

Powieść z czasów Władysława Jagiełły.

Bystry Dunajec, karpackie dziecię ono, obiegłszy nowotaręską dolinę, płynie krawędzią kraju naszego, sandecką od spizkiej oddzielając ziemi. Okolice, które szumem swych kaskad ożywia, są zaiste na ziemi naszej najpiękniejsze; któryżto z gości *Czerwonego klasztoru* pojrzał na szczyt niebotycznej Pioniny, a wyrazem zachwycenia nie oddał holdu krasie i wielkości natury?... Od Pionin, jakoby od czoła tego gór olbrzyma, rozchodzi się olbrzymie tegoż ramiona. Kręte tych gór pasmo dziwnie się gmatwa i wije, tu przerwane nagle rozdziawia się w przepaść, tu wyskakuje w obłoki, głową do cukrowej podobną. Patrząc z wysokości Pionin na całą okolicę tej mapę, zdawa się tobie może, iż widzisz ziemię w tańcach i skokach. Dunajec nie wstrzymany tym wirum gór i skał, przeskakuje, które w swym biegu napotka przeszkody, i gniewny niby, bo szumiący i spieniony, spieszy się w kraje, zamieszkane ludźmi i miastami. U miasta Sącza szczyt już rozlany, płynie

dalej i dalej, a ze stron obiedwóch rozstępują się góry, aby dzięki to Karpatów dziecię ugłaskaniem i spokojnym licem zbliżało się do poważnego majestatu Wisły, rzek królowej.

Na jednej z tych nad-dunajcowych gór, gęstym lasem porosłej, u podnoża której widzisz rozsypane chaty Tęgoborza, stał w wieku 15tym zamek, gniazdo i siedziba Dobka Puchały Wieniawczyka. Król Łokietek starym ~~czym~~ *szczerbcem* passował go na rycerza. Tém uderzeniem miecza wszczepił w ciało siłę, w duszę waleczność i niepowściągniętą do walk ochotę.

Takową niesioną, przyłączył się Puchała do Zawiszy Czarnego, i z tym ~~czym~~ *współek* służył czas długi cesarzowi Zygmuntovi w krwawych z Turkami bojach, pozyskał sławę, *zjednat sobie* względy u cesarza.

Powołany do kraju w czasie, kiedy Jagiello uporczywą z Krzyżakami ~~wojnę~~ *proceedził* wojnę, przybył w porę rozpoczęcia sławnej pod Grunwaldem walki. Piszze Bielski, iż Puchała ~~Dobek~~ *Dobek* z hufem swoim przyczynił się ~~nie~~ *także* mało do odniesienia tego po wszystkie wieki pamiętnego zwycięstwa.

Pięćdziesiątego domierzał roku życia, kiedy z Zawiszą Czarnym pociągnął na dwór cesarza; w czasie potrzeby pod Grunwaldem liczył ~~już~~ *już* rok sześćdziesiąty. ~~Atoli~~ *Atoli* ~~styrany~~ *styrany* wiekiem, ~~nieustannymi~~ *nieustannymi* walkami i trudy wojackimi, stracił siłę do tyła, iż poranku jednego nie zdołał się dźwignąć na siodło. Z zalem ~~nie~~ *nie* ~~małym~~ *małym* i ze smutkiem ~~nie~~ *nie* mógł towarzyszyć królowi, ciągnącemu pod Malborg. Zaledwie podolał ~~swym~~ *swym* ~~wolnym~~ *wolnym* pochodem przydażyć do domu.

Wróciwszy do zamku swego Tęgoborza, odpał miecz, a z swych włosów hełm zdejmując, do obecnych dworzan w te się odezwał słowa:

*) Jaxa znany nam z kronik z tej miary, iż należał do wyprawy krzyżowej w r. 1147, pod wodzą cesarza Fryderyka I. przedsięwziętej. ~~Wszystcy~~ *Wszystcy* ~~nam~~ *nam* kronikarze zowią go księciem Serbii, *Dux Serbiae*. Wszakże Naruszewicz, Waga i inni uczą nas, że Serbia mieściła w sobie część Łuzacyi, Szląska, Czech i i Misnii, i nie radzi wierzą temu, jakoby Jaxa mógł być księciem i panem tej wielkiej prowincyi, już pod Krzywoustym między Sasów, Czechów i Polaków rozzerwanej, i zaledwie noszącej dawne swoje nazwanie. Był on raczej potomkiem dawnych Serbii królików i obszerne imiona w niej posiadał. Ów Jaxa pojął był córę Piotra Dunina, którego stara legenda *Ozkiem Panny Maryi* nazywa.

(Patrz: Bielskiego, Błażowskiego i Żywoty Świętych Wielopolskiego.)

»Mili moi, pomóżcie, zdejmcie ze mnie te żelaza. Żal się Boże, zbroja, to odzienie powszednie moje, już ciężyc mnie zaczyna. Weźcie, zawieście w sklepie, te nieużyteczne już sprzęty. I miecz ten odbierzcie, staręj ręce służyć nie chce. I ty hełmie mój, stary towarzyszu i obrońco żywota mojego, pożegnaj się z czołem, prochem i pajęczyną porastaj na wieli.«

I oddał miecz służebnym, i hełm oddał i pancierz, przyczołgał się do łoża, padł na posłanie, i pod kożuchem przeleżał cały tydzień, śród cierpień i smutków. Przywołany lekarz ~~leżami swymi~~ nie przyniósł ulgi boleściom. Unękany długą niemocą starzec wątpił już o życiu, przywołał do łoża jedy-naczkę swoją, młodo-wiosną Krystynę, którą miłował wielce. Po nie długiej z córą rozmowie, uczynił do niej zapytanie: »Którego z dwóch zalotników, Szafranca czy Żuka, za męża mieć pragnie, gdyż rodem i majątkiem równi sobie, obaj waleczni i prawi obaj.«

Krystyna uklękła przed łożem ojca, jej drżące usta wymówiły imię Szafranca, a rumieniec jej lica wydał, iż Szafraniec był miłym jej sercu.

»Powstań dziewo!« rzekł Puchała, »jeżeli-to wola Boska, abyś Szafrancowi zaślubioną była, i moja nie będzie przeciwna. Wiga-
LW
tu przyszlą niedzielę, da Bóg doczekać, za-proszę księdza i sąsiadów kilku, sprawię ci wesele i opuścisz ojczyste gniazdeczko, i pój-dziesz na obcy chleb. Pokwap się jeno, a wyślej pacholę jakie po Szafranca, niech przybędzie do ciebie, kiedy twoim być ma na życie całe.«

Krystyna łzami wdzięczności i rozrzewnie-nia ~~ojca~~ zalała rękę, wstała żywo i wy-biegła z komnaty. Rychło posłyszano tętent wyjeżdżającego z bramy; dzień nie doszedł wieczora, już Krystyny ucho dosłyszało wje-żdżających na zamek konnych.

Przygonił posétek, z posétkiem Szafraniec. Uradowane dziewczę ptaszkiem zbiegło na podwórze, młodziana za rękę ujawszy, do izby, do łoża ojcowskiego przywiódło.

Uklękli oboje. Stary Dobek obyczajem dawnym wznosił nad schyłonemi ich głowy obiedwie dłonie, lecz ledwo co otworzył usta, pierwszego nie domówił słowa, rozrzewniony zapłakał i zamilkł. Osłabiony umysł nowém

tém wzruszeniem wstrząśnięty, obłąkał się i przytomność opuściła starca. Już nie będąc panem swych uczuć, słów i wewnętrznych poruszeń, jękom boleści puścił bieg wolny. Cierpliwością nielagodzone cierpienia dręczyły go tém więcej, drażniły boleśniej. W tym stanie okropnym zamknięte na chwilę podnosząc oko, gdy spostrzegł wedle siebie młodziana, zadrzał, chciał powstać, nie mógł; niecierpliwy i gniewny podniósł głos i rzucił na Szafranca straszne słowa okropnego przekléstwa.

Krystyna odskoczyła od młodziana strachem i zgrozą przejęta, Szafraniec ~~nie~~ pozostał na kolanach, jakby ciężarem przekléstw przy-walony, do powstania siły nie miał.

Dobek nie przychodził do siebie, na klęczą-cego spoglądając, raz łagodnie doń prze-mawiał, synem go nazywał, to znowu wołał głosem okropnym: »Precz ode mnie chłopie, przekléstwo z tobą!«

Krystyna rzewne tłumiąc płacze, wezwała miłego, by powstał i oddalił się od chorego ojca. »Miej cierpliwość i nadzieję,« mówiła zapłakana. »Bóg dobry, ulituje się nad nami. To pożegnanie nasze nie jest ostatniem po-żegnaniem; bądź pewnym serca mojego, bądź pewnym i nadziei.«

»Miła dziewico moja,« mówił on. »Sercu twemu umię wierzyć, ale nie nadziei. Naj-piękniejsza zawiodła!« Łzami pożegnał ko-chaną i odjechał.

Mijał tydzień, Dobek straconej nie od-zyśkał przytomności.

Jednego wieczora siedziała Krystyna przy łożu chorego, kiedy służebnica znać dała, iż pan Szafraniec przybył na zamek. »Stoi przed bramą zamkową,« mówiła ona, »i czeka na wezwanie wasze.«

Radością wielką, widocznie malującą się na obliczu dziewicy, ożywiło się jej serce, i wraz biegła do młodzieńca, za którym usychała z tęsknoty; alic zatrzymał ją w biegu głos ojca: »Zostań, Krystyno moja, pozostań; nie opuszaj mię!« i wyciągnął obie dłonie do córy, starzec biędny, żebrzący.

Zasmucona wróciła do łoża; Dobek po-chwycił jej rękę, trzymał ją silnie obiema rękami, atoli bezsennością znużonego w tej chwili napadł sen, a z bezwładnej starca ręki wypadła dłoń dziewczyny. Acz pociągana

obronić

całe

LW

FR

swą tajemną zasłaniał Jaxę w krwawych walkach, które odbywał na Ziemi Świętej, jako obrońca grobu Zbawiciela. I śmierć ona, co zmiatała hufy całe, nie miała żywota Jaxy i bezpieczny był w tym hełmie, o którym powieść taka: *Iż ktokolwiek uzbrojony nim, wolny od pocisków strzał i od razów miecza zbawion jest.* Kiedy po zgonie Jaxy pozostałe córki dzieliły się puścizną jego, starsze brały miasta, grody, najmłodsza hełm Jaxy wybrała sobie. Ona była matką rodu naszego. Owoż gdy inne Jaxowego domu dzielnice wielkiemu cieszyły się mieniem, nasza uboga nie oplakała straty żadnego z swych synów; bo uzbrojony hełmem Jaxowym z wszelkiej walki wracał ~~cały~~ do domu cały i nieuszkodzony na zdrowiu. Wiadomo tobie, iż rycérski rodzic mój, wielki bojów miłośnik, przez życie całe nie odpasał miecza od boku, w obcych nawet i dalekich stronach szukał wojny, ~~gdy ojczyzna spokojną była~~; alie ta wojna niebezpieczna innym, jemu igraszką była tylko, bo pewny był życia, hełmem Jaxowym zasłonił. Dziś wiekiem styranym, nie podźwignie już miecza, i w sercu brak ochoty do walki. Już hełm Jaxy niepotrzebny stał się jemu. Zdjęłam go ze ściany, na której rdzewieć zaczynał, i na twoje włożyłam skronie. W nim idź do walki, idź z tą wiarą, że życie twoje zabezpieczone cudowną mocą Jaxowego hełmu. Odrzuć od siebie niepokojące cię przeczucie, bądź spokojnym w tej wierze, iż wrócisz bez szwanku do domu, a skoro wrócisz, Krystyna twoją będzie... A ty aniele stróżu jego!» dodała, oczy wznosząc ku niebu, «czuwaj nad nim i poleconego Opatrznością Boską strzeż i zachowaj od wszelakiej szkody!»

Szafraniec ukląkł przed kochanką, ucałował dłoń podaną sobie, a ostatniem *bądź zdrowa* pożegnawszy dziewicę, odjechał.

W nie długim czasie po Szafrancu odjeździe Puchała odzyskał zdrowie i siły do tyła, iż z łoża się dźwignąć zdołał. Na ramieniu córki wsparty, zaczął się przechadzać po izbie i już mniemać zaczynał, że siła lat młodych wracała do niego.

Jednego razu, kazawszy przynieść sobie miecz, wyrwał go z pochwy, machał nim i doświadczał prawicy. Przekonanie o odzyskanej sile miasto radować go, sprowadziło smutek na jego myśli.

»Co wam takiego, panie ojczy?« zapytała Krystyna, »smutni jesteście, a ja się raduję, iż Bóg dobry dał wam zdrowie znowu.«

»O, bo ja nie znalazłem ni zdrowia, ni siły,« odrzekł Dobek; »lżejsza była niemocą złamanemu słyszeć o walkach rycérzy, dawnych towarzyszy moich. Nie sromota bowiem była siedzieć doma, kiedy noga do strzemiona dźwignąć się nie mogła, ni ręka do miecza, ale teraz, widzisz dziecko, co tu siły we mnie, w mojej ręce, a czemuż ja nie z królem Jagiellą. ~~Towarzysze moi w krwawej dzieł pracy, a ja wczasów używam i miękkich wygod, które kalere jeno przystały. Krystyno, ja pójdę z królem Jagiellą.~~«

Zastraszona taką mową dziewczyna jęła przypominać ojcu dawne wojenne prace jego: »Któryż z rycérzy odbył walk tyle?« mówiła, »jedna cząstka sławy waszej wystarczyłaby na ozdobę całego życia innym. Więc zostawcie młodszym boje, a resztę skolatanego żywota przepędźcie w spokoju, i o walkach myśleć przestańcie.«

»Nie przestanę!« zawołał Dobek, »nie przestanę, póki życia. W bojach wzrosłem, żyłem, i bodajem w nich był skonał, a nie dożył tej sromoty, aby sąsiad wracający z wojny, w której Puchała nie było, opowiadał o niej Puchała, jako niewieście przy kądzieli. Nie, nie doczekam tego i pójdę za królem.«

Krystyna nie wiedziała rady, ni mowy; cały wieczór przepędziła na dumaniu. Myśl dobra przyszła do niej, którą pochwyciła rażno. Lekarz namówiony od niej umiał przemówić do przekonania rodzica, strasząc nowym chorobą powrotem, w razie, gdyby się wystawił na poniewierkę i trudy, i odwiódł go od tych myśli, przytłumiwszy na chwilę ~~ty~~ ochotę do walki. O Krystynie odstąpiła trwoga, widząc bowiem tę gotowość ojca ~~i chęci~~, zatrwożyła ~~ona~~ się nie mniej i z tego powodu, iż hełm Jaxy, bez którego Puchała nigdy nie wychodził do walki, bez wiedzy i woli rodzica oddała Szafrancowi. Nieśmiała, a może lękająca się nagany, utaiła ten postępek swój przed ojcem. Na teraz, gdy Puchała wierząc słowom lekarza, zaniechał wojowniczego zamiaru, z obawy, by nie ściągnąć na siebie ojcowskiego gniewu, wyznanie swój winy odłożyła na czas późniejszy. Miesiąc ubiegał od tej pory. Dobek, acz zdrowy na ciele, w duszy

nosił trapiący go smutek. Za każdą o wojnie wspominką wywierał żale i narzekał na nieużyteczną starość.

W onym czasie, kiedy król Jagiełło, czołem rycerstwa otoczony, zdobywał miściny pruskie i grody Hrzyżaków oblegał, Zygmunt Luxemberczyk, król węgierski, korzystając z pory, wtargnął z wojskiem swoim w pograniczne ziemie polskie, nie mające straży, ni obrony. Wodzem najazdu tego był Scibor Sciborczyk, pan Wagi. Bez oporu opanował on ziemię spiską, a pomykając coraz dalej zagony swoje, ciągnął ku Sączowi, w spustoszeniach i pożogach zostawując smutne ślady po sobie. Lud spłoszony, rzucając mieszkania i dobytki na łup obcego żołnierza, rozbiegał się w góry i roznosił po kraju z wieścią o najeździe Węgrów, postrach i rozpacz. Smutne te wieści ~~rychło~~ doszły do tęgoborskiego zamku, i nowym niespokojem, trwogą nową napełniły czule Krystyny serce. Wiedziała ona, iż jej słowa i prośby nie wstrzymają Puchałę od tego, ażeby odzyskanym siłom ufając, nie zapragnął pochwycić miecza, związać się z sąsiadami, pospieszyć ku obronie najechanego kraju, i stawić pole nieprzyjacielowi. Wszelkiego zatem dołożyła starania, ażeby ta napaść Węgrów nie doszła do wiedzy ojca, a skłamawszy ochotę odwiedzenia powinowatych nad Wisłą mieszkających, umiała nakłonić ojca do przedsięwzięcia podróży w nadwiślańską okolicę, tusząc sobie, iż w oddalonych tych stronach łatwiej ten najazd nieprzyjacielski przed nim utaić podoba.

Stało się życzeniom jej gwoli. Puchała w towarzystwie kilkorga służebnych puścił się w zamierzoną drogę ~~konno~~. Krystyna towarzyszyła ojcu. Atoli pierwszym noclegiem stanawszy w Roznowie, obaczył Puchała w gospodniej stajni mnogo koni i ludzi, i poznał letniego Żuka, Białejwody dziedzica. »Bóg z wami, panie ~~szlachcisku~~« ozwał się do sąsiada.

»Będzie Bóg z nami, będzie, chociaż wy nie z nami,« odparł Żuk, »bo cóżto ja baczę? Puchała, ów rycierz zawołany, gonił Turki i Hrzyżaki, a ~~przed zgrają motloch~~ dziś ucieka. Oddajcie sławę waszą, a pochwycie kądziel, kiedy serce zniewieściano ~~was~~«.

Taką ~~przemową~~ oburzony Dobek rzucił się do oręza, co widząc Żuk nie zaprzestał naigrawań.

»Ha, miecz dobyty wasz,« mówił dalej, »złote miejsce popisu, nawróćcie koniem, połączcie waszych z moimi, uderzmy na Scibora, co pustoszy ziemię naszą, niszczy, morduje i pali, uderzmy ~~na wroga~~, odpędźmy ~~wroga~~, a ~~król~~ kraj ~~cały~~ wdzięczen nam będzie i pochwali nas.«

Obecna tej scenie Krystyna rzuciła się do kolan ojca; splakaną, błagającą odtrącił od siebie zagniewany starzec, ostre czyniąc jej wyrzuty, a w przedsięwziętym zamiarze niewzruszony, dosiadł konia i noc całą goniąc, powrócił do Tęgoborza.

Jeszcze nie zaświtał ranek na górach, już tłuszcze pospólstwa przed zamkiem, a na podwórzu hufiec uzbrojonych czekał na pana, i na hasło do pochodu.

Puchała wyglądawszy oknem skoro obaczył wszystkich w pogotowiu, szedł do zbrojowni. W progu spotkał Krystynę, ta na kolanach, załamując dłonie, prosiła, zaklinała ojca, ażeby zaniechał tej wyprawy.

»Mój panie rodzicu!« wołała; »wy nie pójdziecie na tę wojnę, wy pójść nie możecie; słuchajcie mnie, moja wina, moja wielka wina! ja hełm Jaxy oddałam Szafrącowi, bez hełmu tego wy zginiecie na wojnie! Wy nie pójdziecie panie ojcze, nie pójdziecie na wojnę.«

Puchała raz pierwszy w życiu swoim zdrzał, doznawszy nieznanego jemu uczucia bojaźni: »Nieszczęsna! cóżeś uczyniła!« zawołał. Atoli z chwilowego odurzenia przychodząc ~~rychło~~ do siebie, rzekł: »Wstań dziewol! acz wina to twoja, nie byłbym ojcem, gdybym w tej chwili miał gniew na ciebie, kiedy przychodzi mi pożegnać się z tobą, a pożegnać może na wieki. Gdyż nie taję się z tém, raz pierwszy w życiu słyszę jakiś niedobry głos przecucia, który straszy mnie; przecież nie odwiedzie mnie od tego, ażebym nie pospieszył tam, gdzie mnie woła mój obowiązek rycerski. Przebaczam tobie Krystyno i błogosławię ciebie, miej spokój w tém życiu, bo wesela mieć nie będziesz.«

Podniósł klęczącą, do piersi przytulił i rzewnie zapłakał.

Krystyna, budząc się ze snu omdlenia, zapytała o ojca, ale ten już był daleko za górami.

Hrwawą walkę stoczyły hufy sandeckiej ziemi z wojskiem Sciborowem pod murami

starego Sącza. Zwycięstwo długo wążące się ~~obiedwie strony~~ i niepewne, u schyłku dnia opuściło najezdników. Złamanym w szyku orszak Scibora szybko ucieczką ratując siebie, sprawił popłoch i nieład w żołnierzach nieprzyjacielskich, których na tysiące liczono rannych i zabitych.

Kiedy mieszkańce (ziemi sandeckiej) zapuszczając się w pogoń za niedobitkami Scibora, w spizką przechodzili krainę, nadszły im w pomoc zastępy nowe, które król Jagiełło, posłyszawszy o najezdzie Węgrzyń, odłączył od wojska swego i przeciw nowym tym nieprzyjaciołom wyprawił. Stanąwszy na ziemi sandeckiej, skoro dowiedziało się rycerstwo o porażce i ucieczce najezdnic, wstrzymało się w dalszym pochodzie, folgując koniom, znużonym długą a spieszną odbytą drogą.

W tym rycerstwa gronie znajdował się młody Szafraniec. Z krwawych walk kilku, w których ~~śmierci~~ i działo z Krzyżakami się ścierał, żadnej nie odniósł rany, właśnie jakoby zastonięty cudownym hełmem Jaxy. Powziąwszy wieści o najechaniu sandeckiej ziemi przez Węgrów, przyłączył się do oddziału rycerzy, ku obronie zagrożonych okolic wysłanym, niesiony ku temu trwogą o Krystynę i tęsknotą do kochanej. Nie omieszkał, korzystając na teraz z odpoczynku wojska, odwiedzić nie wiele od obozu oddalony tegoborski zamek, milęd jemu dziewice mieszkanki.

Szybłą jazdą skracał swoje drogi. Słońce zachodziło, kiedy z ostatniego lasu wyjechawszy na otwarte pole, obaczył cel podróży, zamek na wzgórzu się wznoszący. Serce uderzyło mocno ~~z radości~~ i pelen rozrzewnienia zawołał:

»O zawitaj mój zamku! ty przybytku miły, w którym mieszka ona, a moje serce i moje szczęście z nią razem... O zawitaj!»

Wtedy kiedy domawiał te słowa, wieża zamku tegoborskiego uderzyła w swój dzwón. Był to dzwónienie na *Anioł Pański*. Smutno mu się zrobiło; ten dzwón za umarłych przywiódł mu do pamięci wielu miłych i znajomych, w bitwie z Krzyżakami poległych. Smutném spomnieniem zajęty ~~oni~~, dojechał do Tegoborza, i ani zważał na to, iż pomimo zwyczaju wrota zamkowe otwarte były, i nie strzeżone przez żadnego z strażników. W ścianie bramy były drzwiczki, zamykające wchód do długiego i wąskiego kurytarza, który prowadził do kapliczki zamkowej. Dziś otworem stały, a z kaplicy biło światło i ciemny rozświecało krużganek.

Tym światłem pociągnięty wstąpił Szafraniec do kurytarza. Zimny dręszcz przeszedł po nim na widok, jaki odsonił się oczom jego. W chłodnej, ciemnej kaplicy zawieszony kaganiec oświecał trunnę, postawioną po środku, a za trunną klęczała zakonnica.

Na szelest kroków wchodzącego powstała ~~ona~~ i bezmowna, nieruchoma ~~ona~~, podobna do posągu Stęj Kunegundy... Młodzian poznał Krystynę swoją, i z wyciągniętymi rękoma biegł do niej. Ale ona podniosła ramię, na trunnę wskazała i rzekła:

»Zatrzymaj kroki twoje rycerzu, do mnie nie zbliż się, gdyż trunna rodzica jest między nami. Żyjesz, ale wiedz o tem, iż życiem rodzica mego okupiłony żywot twój. Biada mi, z cęm miłowała ciebie, i biada tej ręce, która hełm Jaxy tobie oddała.»

»O nieszczęsny ja! jęknął Szafraniec. Hełm Jaxy, który trzymał w ręku, rzucił o kamienną podłogę z siłą tak wielką, iż rozbryzgnął się w cząstki i w skorupy stalowe.

Krystyna, ukrywając w dłoni jedną zapłakaną oblicze, drugą Szafrancowi podała.

Młodzian przygłnął do jej ręki ustami całemi, i rzucając łzami ją zosił. Łzy zostały na dłoni, ale oczy, które go wylały, pożegnały Krystynę na wieki.

JADAM Z ZAPORA.

N O S.

Przyrodzenie dało nos człowiekowi, a więc to nie do ladajakich celów.... Lecz porzućmy żarty, które dla wielu mogą się wydać tem niewczesniejszemi, iż wkraczają do zakazanej krainy prawdy. Patrzymy na nos z innej strony. On jest tak wydatny! pod tyła kątami uważanym być może!

Gdy patrzycie na cienie w panoramie, lub na aktorów zwolna wysuwających się z za kulis, coż się wam napręd ukazuje? Nos zaiste! Wiem, że takbyście mi odpowiedzieli, chociażby tu nawet i nie było mowy o nosie.

Taki nos! jest to igła magnetyczna, ubezpieczająca bieg okrętu. Jest to kozak przodem wystający na zwiady! Jest to żuraw, przewodnik stada!

Lecz ileżto przykrości i niebezpieczeństw musi pokonywać co chwila ta przednia straż nasza? *Wscibić nos wszędy*, przystawie to jest nader drogo przezeń kupione.

Wiecznie wiszący nad gębą, jak domowy dozorca nad swoim pupilem, musi on zajrzeć do każdej tyżki wchodzącej do gęby; zdaje się tylko czyhać na kontrabandę, i nie raz przepłaca swoją gorliwość!.. Ileżto jest takich rzeczy na świecie, które bezpośrednio tyczą się jednego tylko nosa! Ileż drobnych umarwień, ile niespodzianych zniewag! I potrzeba je znieść w milczeniu!

Nos jest główną kwatęą dumy i drażliwości człowieka, dla tego też można go uważać za termometr naszej pomyślności. Za dobrej chwili podnosi się on tak raptownie i wysoko, iż go *ani krukami nie dostać*; w złej dobie również gwałtownie z najwyższej noty spada na *kwintę*. Za to ilekroć piastuje okulary, lub zażywa tabakę, znać to, iż on jest królem oblicza. Oto się nasraja do kichnienia! Nie traćcie chwili: Wiwat! Setnych lat! Pomyślności!

Nos po kichnieniu jest to poeta przytomny wystawie swęj sztuki na teatrze. Patrzcie, jak się zaczerwienił! Uręcam was, że to nie ze wstydu. Jest to rumieniec zadowolenia, uczucie szczęścia, jakiego można tylko kosztować, zażywszy tabaki, lub będąc poetą.

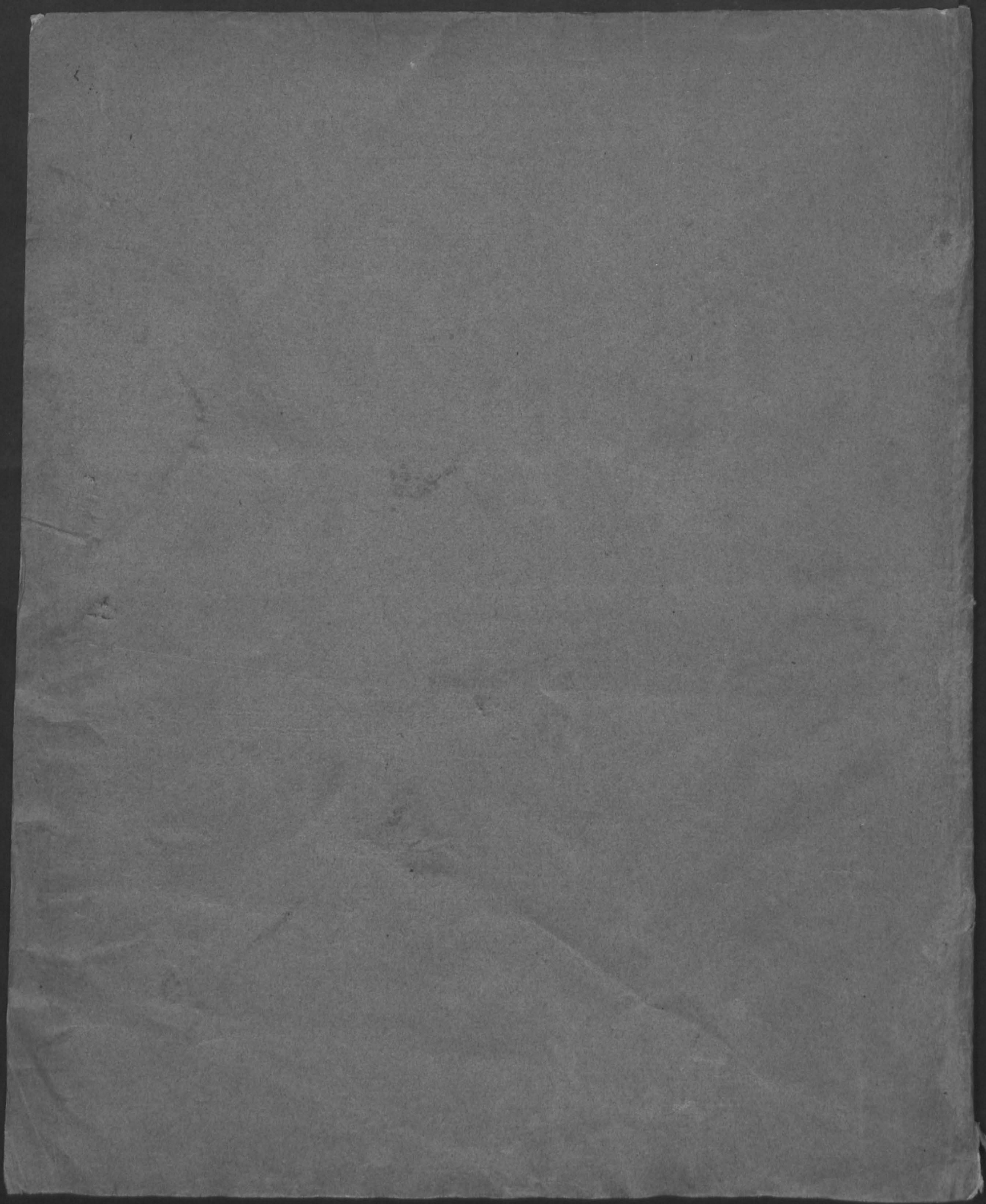
"Wstrzymaj twoje kroki Rycerzu - do mnie
nie zbliżyć się tobie - trumna rodzica jest
między nami. - Ty żyjesz - ale wiedz o
tem, że żywotem ojca mojego okupione
twoje życie. Biada mnie - biada zem młodo-
wata Ciebie - i tej ręce mojej biada - któ-
ra - chelmu Taxy powierzyłam tobie. "

Młodzian zrozumiał te słowa - odgadnął
co się stało - westchnął boleśnie - i ręce
zatał, a potem Chelmu - stary - Chelmu
Taxy - co trzymał w ręce rzucił o ziemię -
z siłą taką, iż - tylko - skorupy stały,
we rozbiegły się po ziemi.

Krzyszyna ukrywając w dłoni jednej z aptek,
ne oblicze - drugą Szafarcowi oddała.

Młodzian przyłgnął do ręki ustami cał-
mi, - rzewnymi łzami ją oblat. - Lzy pozost-
wały na dłoni - ale oczy co je wylały, pożegna-
ły Krzyszynę - na wieki.

2021. Imprimatur, Lembereg, 30.
Novemb. 841. Plankoffler.



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.